Nr. 32. Poznań, Niedziela 11. sierpnia 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przégląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TREŚĆ.

KONKURS.

Redakcya „Przeglądu Poznańskiego“ ogłasza niniejszem konkurs na pracę o życiu i dziełach Karola Marcinkowskiego.

Warunki konkursu są następujące:

1) Dzieło uznane za najlepsze otrzyma 1000 marek nagrody. Fundusz ten zebrała w drodze składek redakcya „Przeglądu Poznańskiego“.

2) Dzieło winno obejmować przynajmniej 10 arkuszy druku (8-vo).

3) Dzieło winno zawierać:

a) charakterystykę społeczno-politycznych stosunków W. Ks. Poznańskiego w tej epoce, w której żył i działał Karol Marcinkowski; b) życiorys Karola Marcinkowskiego i dokładną charakterystykę jego społeczno-politycznych i filantropijnych dążeń i działań; c) historyę instytucyi powołanych do życia p. Karola Marcinkowskiego lub z współudziałem jego stworzonych; d) charakterystykę wybitniejszych działaczy politycznych w Księstwie z okresu Karola Marcinkowskiego.

4) Prace nadsyłane pod adresem redakcyi „Przeglądu Poznańskiego“, powinny być bezimienne i zaopatrzone w godło, znajdujące się także na zamkniętej kopercie, zawierającej nazwisko i dokładny adres autora.

5) Ostateczny termin nadsyłania rękopisów upływa z dniem 31 grudnia 1896 r.

6) Premia uzyskana winna być przedewszystkiem użytą na ogłoszenie drukiem nagrodzonego dzieła. Redakcya „Przeglądu Pozn.“ zastrzega sobie jednak prawo publikowania bezpłatnie w łamach pisma swojego niektórych ustępów premiowanej pracy przed ogłoszeniem jej całości.

* * *

O składzie jury konkursowej doniesie redakcya „Przeglądu Poznańskiego“ w najbliższym czasie.

Kwestya rolnicza w środkowej Europie.

II.

Ze wskazaną przez nas w poprzednim numerze niezwykłą inercyą kapitałów rolniczych, łączy się zarazem i mniejsza ich elastyczność. Rolnik nie jest w stanie, tak jak to czyni przemysłowiec, co chwila zmniejszać lub zwiększać dowolnie zakres swej produkcyi, a tem mniej, na czas pewien, całkiem ją zatrzymywać.

Na przeszkodzie temu stoi przedewszystkiem wzmiankowany już stosunek kapitału stałego do obrotowego. Przypuśćmy bowiem, że fabrykant i rolnik posiadają po 100,000 marek kapitału. Kapitał fabrykanta rozkłada się na stały i obiegowy w stosunku 3 : 2. Kapitał zaś rolnika, jak 4 : 1. Procent zaś dochodu równa się w obydwu wypadkach 6 proc. Roczny więc dochód fabrykanta i rolnika wynosi 6000 marek. Lecz oto okoliczności zmuszają ich o połowę zmniejszyć swą produkcyą, a tem samem o tyleż zredukować i kapitał obrotowy. Oczywista, że i suma dochodu wyniesie teraz połowę poprzedniej.

W takim wszakże razie fabrykant otrzymał 3000 zysku od 60,000 kapitału stałego + 20,000 kapitału obrotowego t. j. 3,7 proc., rolnik zaś też same 3000 mr. z 80,000 mr. kapitału stałego + 10,000 mr. kapitału obrotowego, t. j. 3,(3) proc.

Umyślnie przyjęliśmy w przykładzie naszym minimalną różnicę w rozkładzie kapitału przemysłowego i rolniczego na część stałą i obiegową a przecież otrzymaliśmy, że i wtedy rolnik, zmniejszając swą produkcyę, traci niemal o ½ proc. więcej niż przemysłowiec. W rzeczy zaś samej różnica ta jest o wiele większa.

Prócz tego, wprost już z powodów technicznych, kapitał obiegowy zmniejsza się w rolnictwie w mniejszym stopniu, niż produkcya. W fabryce, gdy wytwórczość zostaje zredukowaną do połowy, wtedy i opału i materyału surowego dwa razy mniej wychodzi i robotnika połowę się tylko najmuje. Kapitalista więc wrzuca w obieg połowę tego, co zwykle, i druga połowa pozostaje u niego w kieszeni. Inaczej rzecz się dzieje w rolnictwie. Ani paszy dla koni i bydła nie można mniej niż zwykle kupić lub zużyć, ani na reparacye mniej nie wyjdzie, boć ilość bydła, sprzężaju, narzędzi rolniczych pozostaje tą samą. Gdyby rolnik chciał nawet część pewną inwentarza swego wyprzedać, to: 1) wycofałby mniej niż połowę zużytego na jego kupno kapitału, 2) możliwem by to było tylko dla pojedyńczych producentów, nigdy zaś dla całego kraju: masowa bowiem podobna wyprzedaż mogłaby jedynie doprowadzić do nadmiernej zniżki cen takich produktów rolniczych jak mięso. Zresztą zbyt wielką nieopatrznością byłaby wyprzedaż inwentarza za bezcen, gdy na rok przyszły należałoby go znowu po wyższych cenach kupić. Również nieroztropnem byłoby zmniejszać w ten sposób ilość nawozu i uniemożliwiać na przyszłość użyźnianie gruntów, co wkrótce znów pod uprawę musiałyby być wzięte.

Co prawda w Ameryce i południowej Rosyi, gdzie w znacznym stopniu prowadzi się rabunkowa wielko-kapitalistyczna gospodarka, raptowne zmniejszenie produkcyi rolniczej możliwem jest i nieraz ma ono tam miejsce. Mała to jednak pociecha dla intenzywnego rolnictwa środkowej Europy.

A u nas, w Polsce, sporadyczne zmniejszanie lub zwiększanie kapitału obiegowego jest już wprost niewykonalnem. W Anglii, w zachodnich prowincyach Niemiec, w fabrycznych okolicach Francyi można chociażby zmieniać z roku na rok ilość zatrudnianego robotnika. U nas, gdzie panuje system komornictwa, niesposób co chwila wydalać dziesiątki rodzin chłopskich, tem bardziej, że kontrakty są roczne.

Wróćmy teraz znów do poprzedniego naszego przykładu. Fabrykant zmniejszywszy produkcyę o połowę otrzymuje 3000 mr. dochodu ze swej fabryki, prócz tego posiada on w swem rozporządzeniu 20,000 kapitału. Może on go umieścić w innej gałęzi przemysłu lub handlu i licząc znów po 6 proc. otrzymuje zeń 1200 marek zysku. Kapitał więc 100,000 mr. dał mu ogółem 4200 mr. dochodu, czyli przyniósł 4,2 proc. Tymczasem rolnik nasz, chcąc zredukować produkcyę swą o połowę, a nie mogąc w równej mierze zmniejszyć kapitału obiegowego, nie byłby w stanie pokryć nawet kosztów wytwarzania. Licząc bowiem poprzedni jego zysk na 6000 mr., a kapitał obiegowy na 20,000 mr., tem samem powiedzieliśmy, iż dochód brutto równał się 26,000 mr. Redukując do połowy produkcyą, otrzymamy 13,000 mr. A odjąwszy od tej sumy koszta najmu, utrzymania inwentarza itd., czyli wielkość kapitału obiegowego, będziem mieli 7000 mr. deficytu.

Lecz nawet i dla owego, w lepszych warunkach znajdującego się rolnika, który jest

w stanie dowolnie zmniejszać ilość robotników, kwestya przedstawia się nie wiele lepiej. Przypuśćmy bowiem możliwie dlań nawet korzystny stosunek kosztów najmu do reszty kapitału obiegowego, tj. 4 : 1, a otrzymamy, że przy dochodzie brutto 13,000 mr. wydał on $^{2}/_{5}$ poprzednich kosztów produkcyi czyli 8000 mr. na najem, $^{1}/_{5}$ czyli 4000 mr. na inne wydatki, które pozostały niezmienione, dochód więc jego równa się 1000 mr. (13,000—12,000). Prócz tego pozostało mu się 8000 mr. wolnego kapitału, który może mu, gdzieindziej umieszczony na 6 proc., przynieść 480 mr. Razem więc 100,000 kapitału dało mu 1480 mr. zysku czyli 1,48 proc. Czy jednak tak mały dochód będzie w stanie wyrównać straty, wynikłe z wyprowadzenia gruntów z kultury, nader to wątpliwe.

Z obu tych kardynalnych różnic, zachodzących między rolnictwem a przemysłem, a mianowicie z inercyi i mniejszej elastyczności kapitałów rolniczych, wypływa i odmienne kształtowanie się cen produktów agrarnych.

Niezależnie od tego, co przyznamy za podstawę wartości, czy sumę niezbędnie potrzebnej przeciętnie społecznej pracy, czy stopień użyteczności towarów, czy też rzadkość ich, czy wreszcie użyteczność wraz z rzadkością, zawsze zgadzamy się na jedno, że ceny wytworów przemysłowych nigdy poniżej kosztów produkcyi na stałe spadać nie mogą. Gdy bowiem zbyt wielka podaż do tak nadmiernej zniżki je doprowadzi, wtedy kapitały poczynają wycofywać się z zagrożonych pozycyi, podaż się zmniejsza i ceny idą w górę.

Klapą bezpieczeństwa, chroniącą przemysł od stałej stagnacyi i ruiny jest ruchomość jego kapitałów. Lecz rolnictwo jej nie posiada.

Wobec tego możliwą też jest w rolnictwie stała zniżka cen poniżej kosztów wytwarzania.

W podobnem położeniu znajduje się dziś rolnictwo środkowo-europejskie. Wszechświatowy rynek zbożowy jest przepełniony. Nie znaczy to bynajmniej, by zboża wyprodukowano więcej nad ilość, mogącą być skonsumowaną. Bynajmniej. Masy ludności mrą z głodu. Lecz produkcya przewyższyła już siłę pokupną narodów. W dzisiejszem zaś społeczeństwie zwie się to nadprodukcyą. Zboże nie leży coprawda zaspami w śpichlerzach. Ostatecznie zostaje ono sprzedanem. Lecz cena, zań otrzymana, pokrywa koszta produkcyi tylko na najlepszych gruntach tj. mówiąc konkretnie, w Ameryce, w Indyach i południowej Rosyi. Kraje te, o ekstenzywnej produkcyi i wielko-kapitalistycznej gospodarce, posiadają i tę jeszcze nad nami przewagę, że łatwiej mogą zwiększać lub zmniejszać swą wytwórczość. W ten to sposób są one w stanie przez dłuższy jeszcze przeciąg czasu utrzymać ceny produktów rolniczych na wszechświatowem rynku, powyżej ponoszonych przez nie kosztów wytwarzania. Obojętnem im jest wszakże, czy ceny te wystarczające są i dla naszego rolnictwa.

Bimetaliści widzą główną przewagę amerykańskiego rolnictwa nad środkowo-europejskiem w konjunkturach monetarnego rynku. Mają oni potrochę słuszności. Rdzeń kwestyi nie leży wszakże w stosunkach pieniężnych, lecz

1) w braku elastyczności kapitałów rolniczych i cechującej je inercyi;

2) w specyficznym dla rolnictwa stosunku nakładu pracy i kapitału do wytwórczości.

Gdy bowiem w większości przedsiębiorstw przemysłowych intenzywniejsze metody produkcyi są zarazem stosunkowo produktywniejsze, w rolnictwie, jak to dostatecznie wykazał nasamprzód Rodbertus, a następnie ujął w matematyczną formułę niedawno zmarły prof. Leer, wzrost wydajności do pewnego tylko czasu wyprzedza wzrost nakładu, następnie posuwa się z nim równym krokiem, wreszcie staje się odeń coraz powolniejszym. Jest to zresztą prosta konsekwencya tej ogólnie znanej prawdy, że wydajność ziemi jest ograniczoną. To też różnica w kosztach intenzywnej środkowo-europejskiej gospodarki i konkurującego z nią ekstenzywnego rolnictwa młodszych kulturą krajów, będzie się coraz więcej wzmagać na niekorzyść tej pierwszej. Równocześnie zaś rość musi i ruina całego naszego rolnictwa, zarówno wielkiego, jak i drobnego.

Możliwe są coprawda pewne środki zaradcze, co na czas jakiś mogłyby nas ochronić od grożącej naszemu rolnictwu klęski. Muszą one wszakże polegać wyłącznie na zamianie intenzywnych na więcej ekstenzywne metody wytwórczości, a więc n. p. na zamianie gospodarki zbożowej, na hodowlaną i wypasową.

Na nieszczęście rada to nie zawsze wykonalna. Gdzie nie ma dostatecznych środków komunikacyi lub odpowiednich warunków naturalnych, albo wreszcie niezbędnych dla przeprowadzenia reformy kapitałów, tam może ona jedynie przyśpieszyć ostateczną ruinę.

Zresztą jest to zbawienna do czasu tylko rada. Anglia osiągnęła z niej bezwarunkowo znaczne korzyści. Niechby wszakże cała Europa chciała pójść jej śladami, to jedynym tego niemal skutkiem byłoby pozbawienie całych mas ludności zajęcia i zmniejszenie pokupnej siły rynku. *Str.*

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej zaboru pruskiego

Wychodzący w Bochum „Wiarus polski“ donosi:

„Baczne oko zwracać zaczynają westfalskie władze policyjne na polskie towarzystwa. W przeszłą sobotę zawezwano znów prezesa Tow. św. Franciszka z Riemke na policyę, gdzie go badano, podobno jak innych o różne drobnostki. Te wzywania na policyę bywają nieraz dosyć przykre, gdyż prezesi muszą często mudzić pół dnia, a zmudy tej nikt im nie wynagradza. W ostatnim czasie miały nasze towarzystwa dosyć spokoju, ale widać, że teraz coś przeciw nim knują, bo dawniej nie żądano przedkładania sztuczek teatralnych, co się teraz częściej dzieje. Towarzystwo św. Andrzeja w Bochum zamierzało urządzić przedstawienie amatorskie, a komisarz zażądał poraz pierwszy, by mu wręczono tekst teatru i pieśni, które śpiewać miano. Uczyniono naturalnie temu żądaniu zadość. Na pochwałę komisarza musimy jednak podnieść, że nie stawiał bezprawnego żądania, by mu wręczono niemieckie tłomaczenie, uwierzytelnione przez przysięgłego tłomacza. Zabawa Towarzystwa św. Andrzeja odbyła się w przeszłą niedzielę, a policya przysłała na nią — co dawniej nigdy nigdy nie bywało — stróża bezpieczeństwa, by zdał sprawozdanie z przebiegu zabawy.“

—

„Dziennik Kujawski“ zwraca w numerze 174 uwagę na pojawianie się antypolskich dążności w poznańskich i zachodnio-pruskich bractwach kurkowych. Z artykułu poświęconego temu przedmiotowi cytujemy ustęp następujący:

„Najwyraźniej objawiła się dążność strzelców kurkowych w tem, że na przeszłym zjeździe zachodnio-pruskim, który się odbędzie w dawnej stolicy Krzyżaków, w Malborgu, ma być postawiony następujący wniosek:

„Związek strzelecki zachodnio-pruski przystępuje jako członek do Towarzystwa szerzenia niemczyzny w wschodnich prowincyach ze składką 100 marek“.

Związek liczy obecnie 22 bractw kurkowych i 1600 członków, pomiędzy którymi jest może 200—300 Polaków. Ci zatem nasi rodacy będą zmuszeni walczyć przeciw sobie samymi t. j. przeciw narodowości polskiej przez popieranie celów KHT, a cele te są dla nas w najwyższym stopniu szkodliwe i niebezpieczne, gdyż podobne są do celów komisyi kolonizacyjnej, która kupując ziemię, wyrzuca odwiecznych tubylców i osadza przybyszów na Piastowym łanie.

Kasa związkowa strzelecka w Prusach Zachodnich zawiera tylko 500 marek, a z tych poświęca się 100 marek, aby poprzeć bojowników Bismarcka, walczących przeciw nam pod znakiem KHT“.

—

Nad sprawą powyższą zastanawia się również „Gazeta Gdańska“ i scharaktery-

---

MARYA KOMORNICKA.

SKRZYWDZENI.

SZKIC DRAMATU W 3 AKTACH.

OSOBY.

Wanda, kompozytorka, lat 24.
Kazimierz, muzyk, jej mąż, lat 30.
Figura od koncertów, lat 59.
Karol, przyjaciel Wandy, lat 35.
Pani Wirska, obywatelka ziemska, lat 46.
P. Wirski, jej mąż, lat 60
Leon, adwokat, lat 30) ich dzieci.
Rózia, lat 14)
Dzieci robotników miejskich (lat od 8—15)
Józef, znajomy Wirskich, lat 30.
Żandarm.

Rzecz dzieje się w akcie I i III w Warszawie, w akcie II na wsi u Wirskich.

Akt I.

Wytworny, przeważnie pusty pokój Wandy. — Południe. — Fortepian otwarty. — Wanda sama, czyta Kuryer ranny.

WANDA (*zrywa się nagle*).

Co?... Co oni piszą?... Więc to nie moje?... Nie moje?... Więc czyjeż?... Ha! ha! Jego! (*Gwałtownie chodzi po pokoju.*)

(*Wchodzi Karol.*)

Ach to pan! Jak to dobrze! Jak to dobrze, że mogę przypomnieć sobie, że prócz... stada są... ludzie! (*ściska mu rękę nerwowo*).

KAROL (*z uśmiechem*).

Więc spotkałaś się pani z nowym zawodem, świadczącym o dzikim stanie człowieka? pani Wando! panią tak strasznie wstrząsa... co to jest?

WANDA (*urywanym głosem*).

Jam niepoprawna... to dla mnie upokorzenie ta zdolność przejmowania się krzywdą, wyrządzaną mi przez... ludzi... przecie oni nie mogą *nam* krzywdy wyrządzić! Krytyka śmieje się w głos z ich złych chęci... a jednak... (*chwyta się za głowę*) to drażni! to tak drażni!...

KAROL.

Cóż się stało?

WANDA (*j. w.*)

Lecz czy to może nie drażnić? Czy nie słusznem jest nasze żądanie sprawiedliwości?... Gdybyśmy mogli wśród nich nie żyć! Ale musimy... musimy... Całe życie nasze połączone głównymi arkanami z ogólnym światem! A ten świat ogólny jest w rękach bydła! √

KAROL.

Na Boga, pani, powiedz co się stało?

WANDA (*spokojniej, szyderczo*).

Wieszże pan, że nietylko utwory moje są dzikie, bez artyzmu, rozuzdane, niezrozumiałe... lecz nie moje! Fantazya „Między gwiazdami“ nie moja.

KAROL.

Kto to powiedział?

WANDA.

Recenzent.

KAROL.

I komuż ten pan przypisuje pani dzieło?

WANDA (*z uśmiechem*).

Kaziowi. (*Śmieje się.*) Widzi pan według niego niema nic kobiecego w mych kompozycyach... to męska siła rozhukana... Zkądby się wzięła kompozytorka? koncertantki istnieją: ale talenty twórcze, muzyczne, nie ukazały się nigdy wśród kobiet.

KAROL (*kończąc*).

Więc się nie ukażą nigdy... Więc talent pani jest podejrzanym... Zwykła logika: czegoś nie było, więc... tego być nie może — nigdy! Starożytni mówili, że ziemia jest płaską, więc — co za wymysł — jej sferoidalność!

WANDA (*wyciąga do niego ręce*).

Panie Karolu — jestem już zupełnie spokojna! Gdyby nie pan i tych kółko innych, ta nieliczna odsetka od kapitału głupoty, arogancyi i pospolitości, nie pozostawałoby mi nic innego jak powieszenie się.

KAROL.

Tego uczucia doznaje każdy, kto śmie wyrość po nad tłum filistrów, zjadaczów chleba i szablonów (*przypatruje jej się*). Panią życie

zowawszy zakusy niemieckie, tak pisze w numerze 91:

„Wobec tego pytamy: czy taka agitacya podszczuwająca jednych obywateli na drugich zgadza się z celami bractw kurkowych? Czy dalej polityczne bractwa kurkowe w myśl przepisów prawnych mogą stanowić jakieś związki? Czy wreszcie członkowie Polacy bractw kurkowych mogą być spokojni na to, dawać grosz swój do kasy związkowej, aby zań kręcić sobie bicz na własną skórę? Czyli godność narodowa i szanowanie siebie samych pozwalają przebywać dłużej w bractwach, które mają być rzekomą strażą niemiecką (!) nad Wisłą, czyli innemi słowy wypierać wszędzie żywioł polski, tubylczy?

Jesteśmy przekonani, że Polacy, należący do bractw strzeleckich, podniosą odważnie głos i zaprotestują przeciw takiej gospodarce i takiemu bobrowaniu w bractwach przez HKTystów, a gdy protest nie odniesie skutku, wystąpią z owej „straży niemieckiej nad Wisłą“. Gdyby tego nie uczynili, zasłużyliby na lekceważenie i pogardę ze strony przeciwników i wytykanie palcem przez swoich!

Wstyd i sromota byłaby, aby Polacy członkowie bractw strzeleckich nie byli stanowczymi i nie umieli bronić swej godności narodowej wobec takich ohydnych zamachów na wszystko, co polskie!“

—

Z powodu wydzierżawienia hotelu Wiktorya, gmachu zbudowanego ku wspieraniu teatru polskiego, żydowskiemu przedsiębiorcy, zamieszcza „Orędownik“ w numerze 175 następujące uwagi:

„Gazety poznańskie przyjęły wiadomość o wydzierżawieniu hotelu Wiktoryi p. Bernsteinowi w gmachu Pomocy teatralnej — na sucho i poprzestały na krótkich wzmiankach. „Dziennik Poznański“ napisał krótko, że „konieczność ochronienia Spółki od strat znaczniejszych“ zmusiła Zarząd Spółki wydzierżawić hotel — nieswojemu.

W publiczności odzywają się rozmaite głosy, a główną ich cechą jest determinacya, ta sama, jaka się objawia przy sprzedaży ziemi polskiej na Kolonizacyą. — Co zrobić? — mawia wielu, — nie ma wyjścia z kłopotów, kolonizacya jedyny ratunek dla obywatela ziemskiego, a p. Bernstein dla Teatru polskiego.

Znieczulenie jest wielkie; społeczeństwo poznańskie doszło do punktu, na którym nawet z najgorszemi wypadkami będzie się umiało pogodzić.

Pytanie tylko: czy pan Bernstein stanie się — ratunkiem dla Teatru polskiego?

W Teatrze naszym się tli i już się kurzy, tylko nie wiadomo, na którem miejscu się tli. Zakurzyło w Hotelu Wiktoryi, ale czy kontrakt, zawarty z panem Bernsteinem przydusi ogień, to jeszcze pytanie. Gwarancyi nie ma na to żadnej.

Teatr nasz polski ma smutną przeszłość, przyszłość jego może być jeszcze smutniejszą. Roztrwoniliśmy lekkomyślnie 100,000 marek, złożonych na subwencyonowanie sceny. Błąd ten postanowiliśmy naprawić przez Spółkę Pomocy teatralnej, która zbudowała gmach frontowy, mający scenie polskiej zapewnić egzystencyę. Jeszcze trzy lata nieupłynęły, a nadzieje zachwiały się i okazała się „konieczność“ wprowadzenia żyda do gmachu teatralnego, żeby ratować Spółkę Pomocy „od strat znaczniejszych“.

Na czem polega i w czem się kryje ta „konieczność“, tego nikt nie uważa za potrzebne wyświecić.

Czy to może przez spekulacyę — na znieczulenie umysłów w Poznaniu?“

—

Tej samej sprawie poświęca „Dziennik Kujawski“ w nr. 176 następujące uwagi:

„„Pomoc“ zbudowała za fundusz, zebrany wyłącznie od Polaków, dwa okazałe gmachy. Od podwórza umieszczono napis: „Naród sobie“. Jest to nieszczęsne naśladowanie Czechów. Zaręczamy, że Czesi nie wypuściliby w dzierżawę hotelu żydom lub Niemcom, skoroby podobny napis położyli.

Dyrekcya może być o tyle uniewinnioną, że nie zgłosił się żaden Polak, któryby dawał rękojmię moralną i materyalną, że dotrzyma warunków ugody. Zgoda na to. Czy jednakże dyrekcya „Pomocy“ uczyniła dostateczne usiłowania, aby poszukać Polaka? Wątpimy o tem. W „Posener Zeitung“ były częste ogłoszenia o wydzierżawieniu hotelu, ale nie było ich w pismach polskich, n. p. w „Kuryerze Poznańskim“, „Orędowniku“, „Dzienniku Kujawskim“, a nadewszystko w „Katoliku“ oraz w pismach warszawskich i galicyjskich. Niepodobna przypuścić, aby wskutek ogłoszeń w licznych pismach polskich nie miał się znaleść przedsiębiorca rodak. Należało nawet spróbować przez pisma czeskie starać się o Czecha, któryby hotel wydzierżawił.

Najwięcej zdziwia, że większa część gazet milczy o tej sprawie. Nie dziwimy się „Dziennikowi Pozn.“, ale „Kuryer Pozn.“ powinien był już dawniej tę sprawę poruszyć, a możeby się było uniknęło smutnego w każdym razie wypadku, że żyd zadzierżawił hotel, wystawiony zbiorowemi siłami narodu.“

—

„Goniec Wielkopolski“ zastanawia się również w nr. 178 nad powyższą kwestyą i takie wypowiada opinie:

„Dla jakich względów podtrzymujemy w Poznaniu z prawdziwem wytężeniem sił naszych i z wysiłkiem funduszy scenę polską? Dla względów idealnych: narodowych, estetycznych, etycznych. Dzisiaj „Pomoc“ dla względów materyalnych odłożyła na bok idealne.

Czyja wina? zapyta każdy; komu przypisać to nowe upokorzenie, tem boleśniejsze, że nie pochodzące od nieprzyjaciół, lecz niejako od nas samych, dobrowolne? Czyja wina? zapytywaliśmy i my osób kompetentnych.

„Pomoc“ stoi tak, że z ową różnicą finansową liczyć się musiała, to nie ulega zaprzeczeniu. I dla tego nie rzucamy kamieniem potępienia na tych właśnie, którzy dzisiaj wydzierżawili p. Bernsteinowi hotel; dla tego też nie pochwalamy gwałtownej napaści na jednostki, ani ogólnikowych zarzutów, że reflektantom Polakom „Pomoc“ wcale nie odpisywała i t. p. W takich razach trzeba występować z nazwiskami.

Ale rzecz inna z pytaniem, czy wolno społeczeństwu rozgrzeszyć „Pomoc“ bezwarunkowo. Pamiętać trzeba o tem, jak przed trzema jeszcze laty, przed budową kamienic, przestrzegano „Pomoc“ (przestroga ta zapisaną jest i w „Gońcu Wielkop.“), aby przedewszystkiem sama stanęła na silnych podstawach, aby policzyła swych członków i zmierzyła siły.

Nie jesteśmy powołani do szczegółowej oceny finansowego stanu „Pomocy“, ale kontrakt z p. Bernsteinem dowodzi w każdym razie, że niedobrze gospodarowano, skoro dziś zachodzi potrzeba takiej kapitulacyi względów idealnych.

Słyszymy odpowiedź: łatwa krytyka; i to prawda, ale społeczeństwo od tych właśnie z członków swoich, którzy mu przodują, lub przodować mają pretensyę, ma prawo żądać, żądać musi, i wielkiej pracy i ofiarności, i zmysłu praktycznego, i ujawnienia tych wszystkich przymiotów nietylko w zarządzie prywatnego majątku, ale właśnie przy prowadzeniu instytucyi, których losy obchodzą szerszy ogół.

Przekonamy się niezadługo, o ile przydatną będzie kieszeń p. Bernsteina; — ileż ten teatr poznański już nas kosztował!“

Przegląd prasy słowiańskiej.

Bułgarski tygodnik „Zname“, organ Karawelowa, pisze o księciu Ferdynandzie:

„Koburg jest z przekonania rusofilem. Wie, że Bułgarya nie może istnieć bez przyjaźni rosyjskiej, dla tego o to się ubiega. Dobrze. Jestli tak w rzeczywistości, jestli Koburg rusofilem, to od niego zależy, aby temu przekonaniu dał wyraz. Jeżeli Koburg uznaje, iż Bułgarya bez Rosyi istnieć nie może, niechaj postąpi jak Battenberg i zrzeknie się tronu, niechaj nie stoi na zawadzie w porozumieniu się dwóch braterskich narodów. Koburg wiedzieć powinien, że jest przeszkodą, która psuje porozumienie z Rosyą. Jeżeli znajduje się w jego sercu sympatya prawdziwa ku narodowi bułgarskiemu, musi tę ofiarę ponieść i zrzec się tronu. Bułgarya wtedy tylko może swoją niezawisłość zachować, jeżeli się znajdzie w sytuacyi dającej jej prawno-polityczne gwarancye. Ta sytuacya wytworzoną zostanie, gdy wybór księcia uskuteczniony będzie w myśl paragrafów traktatu berlińskiego“.

* * *

„Narodni Listy“ tak piszą pod nagłówkiem „Považlive czislice“ (Znaczące cyfry o sytuacyi ekonomicznej Czech):

„Porównywając dane statystyczne, tyczące się handlu wywozowego roku 1893 z rokiem zeszłym, widzimy, iż wywóz naszych produktów z wyjątkiem jedynym bydła znacznie się zmniejszył, a dowóz zwiększył. Różnica w jednym roku wynosi 50 milionów złotych.

„Cukru wywieziono w roku 1893 za 38 milionów zł., w roku zeszłym za 26 mil., zboża o 3 miliony mniej, owoców i ogrodowizny o 1 milion mniej, węgli drzewnych 1,500,000 mniej, wyrobów fabrycznych o 2 miliony mniej.

„Równoczesny ubytek wywozu, a wzrost dowozu dowodzi, iż Czechy wchodzą w kryzys gospodarczą, mającą znaczenie poważne. Najdotkliwszym jest nagły upadek wywozu fabryk sukna. Skutkiem ostatniego traktatu handlowego wywóz nasz skierowany został przeważnie do Niemiec, zkąd też dowóz pochodzi. Fakt

---

wśród nich zjada, przed zamążpójściem wyglądała pani inaczej. Oczy twoje pełne burzy i rozdraźnienia, czoło posępne. Co pani jest, pani Wando?

WANDA (*ściągając brwi*).

Żyję w piekle i o wybawieniu się z niego myślę, jak na wieki potępiony o wybawieniu.

KAROL (*ze współczuciem*).

Nie widzisz pani nadziei wyjścia?

WANDA (*gorzko*).

Tak, bo nie widzę możności walki. Tam, gdzie starcie się jest możliwem, jest i perspektywa zwycięztwa.

KAROL.

Więc trzeba je wywołać. (*serdecznie*) Pani droga, jestem twym przyjacielem od dzieciństwa. Wiesz, żem bezinteresowny i że bezinteresownemi są moja ciekawość i moja rada. Od pewnego czasu pożerasz się wewnętrznie i milczysz; patrząc na ciebie, widzę słowa protestu, palące ci usta. Dla czego nic nie mówisz?

WANDA (*z wezbraną goryczą*).

Bo mi trzeba wybierać między zniszczeniem się, a brutalnością; i wybierać nie mogę.

KAROL (*patrzy na nią z głęboką przyjaźnią*).

WANDA.

Ah — walka o byt! Walka o kość! Wstrętna!

KAROL (*smutnie*).

A jednak trzeba na nią się zgodzić pod karą zguby.

WANDA.

Deptać cudzą pierś, by własna mogła oddychać... to gwałt!

KAROL.

Czyż gwałtem nie jest duszenie pani?... Jeżeli nie chcesz pani być niesprawiedliwą dla drugich, to przynajmniej pamiętaj, żeś na równych prawach z niemi; jeżeli sumienie nie pozwala ci ich deptać, to niechaj to sumienie twoje nie zabija w tobie instynktu samozachowawczego.

WANDA (*z rozpaczą*).

Lecz to brutalne! dzikie! ohydne!

KAROL.

Więc wolisz pani zginąć pod naciskiem brutalności, niż zdobyć się na jednorazową odwagę zdruzgotania pęt, które cię przykuwają do cuchnącej pospolitości? Więc pani nie uważasz, że obowiązkiem jest spoliczkowanie arogancyi, ile razy się trafi sposobność. Więc pani chcesz zapomnieć, że powinniśmy wytępiać wszelkie chwasty reklamy, jałowości, panoszącej się, wzdętej blagi, bezczelnej pospolitości, wszystkie ropuchy społeczne, tryskające jadem na wszystko, co jest wyższością, prawdziwą zasługą, inteligencyą, talentem? Więc pani z rezygnacyą poddajesz się wszechwładztwu robaków, lęgnących się w bagnie. Więc pani nie wiesz, że jeżeli siebie egoistycznie bronić nie chcesz, to bronić się powinnaś przed utonięciem w szlamie jako przedstawicielka prawdy i wyższego rozwoju? Ależ to zbrodnia nie walczyć dzisiaj! Ależ to obowiązek społeczny wywalczać prawo bytu dla swej natury, dla swej siły, dla swego człowieczeństwa! I pani, pani rezygnujesz, pani Wando!

WANDA (*potrząsa głową*).

Pan nie wiesz, co mam na myśli... Z niechęcią, z podłą nienawiścią dla wszystkiego co wielkie, walczyć łatwo, i nie znam wahania. (*zaciska zęby*) Lecz gdy nas truje i dławi mdłość ludzka, gdy jak pająk, kręcąc się koło nas, wikła nas lepką i silną nicią, wysnutą z gruczołów czułości, gdy upoważniona przez swój dodatni charakter, despotycznie nas pochłania, chodzi nam po piętach, jak dozorca więzienny, gdy w jej objęciach doznajemy wszystkich katuszy niewoli, z tą różnicą, że zadane, by nas uszczęśliwić, nie powinny wywołać protestu, lecz wdzięczność, ha! Gdyby porwanie tych nici jest brutalnością... Cóbyś pan wtenczas uczynił?

KAROL.

Dałbym w sposób chłodny do zrozumienia, że sobie tego nie życzę.

WANDA.

W sposób chłodny! Ależ ten człowiek wprost mnie zabija! plącze mi się wszędzie, gdziekolwiek się obrócę, spotykam się z jego wzrokiem zmysłowym, tępym, bałwochwalczym; brzydzą mi się jego ręce i drażnią słowa; ten człowiek swą namiętnością skupioną, ciasną

ten powinien w nas budzić obawę, bo tym sposobem stajemy się od Niemiec zależnymi.

* * *

„Srbski Glas“ pisze o usiłowaniach podjętych ze strony papieża w celu połączenia kościoła wschodniego z zachodnim.

„W Austryi rzekoma zgoda kościołów wypadała zawsze tak, iż prawosławie przestawało być prawosławiem i ustępowało katolicyzmowi. Takiej zgody nie chcemy.

„Wiemy atoli o tem, że są narody słowiańskie, które naszych poglądów nie podzielają, Polacy i Chorwaci w pierwszym rzędzie. Polacy chcieliby przy pomocy Wiednia i Watykanu okatoliczyć Rosyę. Chorwaci dążą do tego, aby cały półwysep bałkański stał się katolickim.

„Ale my mamy dość odwagi i siły, aby przeciw tym tendencyom podnieść głos protestu. Nie chcemy nic więcej jak tylko zupełnej tolerancyi religijnej, tego tylko potrzeba Słowiańszczyźnie. Można wówczas dopiero mówić o porozumieniu, jeżeli uzna się stan rzeczy dzisiejszy.

„Niestety Słowianie dziś już walczą za sprawę cudzą, nie swoją, a głos decydujący mają Madziarzy i Niemcy“.

* * *

Bułgarski „Mir“ pisze pod nagłówkiem „Naszite zapadni dobrożelateli“ (Nasi zachodni „najserdeczniejsi“):

„W jednej dobie prasa zachodnio-europejska zmieniła wobec nas postawę. Nie piszą o nas nic dobrego, odkąd wypowiedzieliśmy głośno, iż jarzma niemieckiej polityki znosić nie chcemy, odkąd rozległo się przy pogrzebie Stambułowa wołanie: „śmierć Szwabom“. Popełniliśmy grzech ciężki wobec matuszki — zachodniej Europy, a grzech ten nie jest do odpokutowania. Pierwszym grzechem było usunięcie Stambułowa, drugim zbliżenie się do Rosyi, za to powinniśmy my Bułgarzy przed zachodem posypać głowy popiołem, a nasze niewiasty obciąć kosy. Bez Stambułowa Bułgarya dziś lub jutro stanie się prowincyą rosyjską.

„Taką jest mowa naszych najserdeczniejszych przyjaciół zachodnich!

„Więc czyżby jeden Stambułow był tyle wart co cały naród bułgarski, czy Bułgarya bez Stambułowa nie może być wolnym narodem i nie zajmować miejsca poczestnego wśród narodów europejskich?

„Sądzimy, iż tak nie jest. Bułgarya wówczas tylko silną być może i rozwijać się pomyślnie, jeżeli prowadzić będzie politykę, opierającą się na przekonaniach ludu“.

D. K.

BADANIA NAUKOWE.

Do jasnej góry.

II.

Jak wśród gromady pątników, idących do Jasnej Góry z szczerą wiarą i nadzieją ukojenia swoich bólów, czuć się musi żywioł obcy i odrębny, przesiąknięty powątpiewaniem, ale wrażliwy? Lekceważenie histerycznej dewotki, czyniącej wystawę ze swej nabożności, byłoby niewłaściwym czynem w stosunku do tych prostaczków. Można bowiem różnie oceniać pożyteczność roztaczających się przed nami stanów duchowych, lecz niepodobna nieuszanować głęboce szczerej indywidualności, która stanowi tam zasadę. Dla osoby zbyt wrażliwej, ktora nadto nie rozporządza wyrobionym probierzem do sądzenia o doniosłości tego lub innego objawu w życiu społecznem, istnieje przecież w pielgrzymce pewne niebezpieczeństwo: jaźń zbiorowa chwyta ją w swoje szpony, ubezwładnia ekstazą i podsuwa ocenę, która będzie i być musi tylko pochwałą. Wł. Reymont jest właśnie takim człowiekiem: połyka wrażenia, które zewsząd napływają do mózgu i w nim pozostawiają swój osad w postaci obrazów. Bezbronny wobec tych napastników, nie może być bezstronnym i przedmiotowym. Upojony falowaniem uczucia zbiorowego, zachwycony prostotą stosunków pomiędzy ludźmi, jaka panuje tam i obowiązuje w gromadzie pątników, ubezwładniony przez naiwną otwartość i brak konwencyonalizmów, otrzymane wrażenia kładzie na karb nie zawsze właściwej przyczyny, ale przypisuje wpływom dogmatu. Nie chcę przez to powiedzieć, ażeby autor pielgrzymki bronił tej tezy, lecz jego poczucie artystyczne wplata taki na pół niewypowiedziany wniosek w opowiadanie i zabarwia je pewną niechęcią dla umysłowości, która otrząsnęła z siebie filozofię, mającą na wszystko i z góry gotową odpowiedź. W świecie obłudy konwencyonalnej, gdzie każdy posiada swój numer i w którym wszyscy muszą jakoś nadsztukowywać swoją indywidualność, ażeby reklamowała siebie i wystawała ponad właściwą miarę, albo też ją poskramiać i zasłaniać, bo innych mogłaby razić, w świecie tym nie ma miejsca na podmuch gromadny, szczery, głęboki, właszcza zaś tak długi, wobec jakiego znalazł się pan Reymont. Falująca przed nim psychika zbiorowa ogłuszyła go i zarazem uśpiła w swoim powiewie, jak matka dziecko na ręku, on zaś w zamian działanie narkotyku gromadnego przypisał innemu źródłu i dalej rozszerzył. Na tle gromady, zacierającej wczełką osobowość, przy odgłosie jej mowy nieczłonkowanej, złożonej z jęków i spazmów, wyprowadza on na stronnicach swojej książki ojca Prokopa, który już w sposób członkowany, t. j. powiązany logicznie za pomocą zdań uzasadnionych, usiłuje dać rodowód filozoficzny ekstazy i silnych uderzeń serc. Wł. Reymont w tym interwiewie — bo rozmowa z wymienionym ascetą w zupełności nosi taki charakter — przedstawia w sobie inteligencyę sceptyczną, która jest „jako trzciny stawów, zeschłe śród lata i trzepoczące liśćmi żółtemi nocą, słońcu i wiośnie“. Ojciec Prokop to upostaciowanie tego, co dokoła owych badyli drga życiem, kwitnie, śpiewa, cierpi wreszcie, lecz żyje; słowem to mózg, który w artystycznem uniesieniu autor „Pielgrzymki“ przyprawił pątniczej jaźni zbiorowej. „Inteligencya z tego zetknięcia wychodzi, skruchą dotknięta.

— Naprawdę, są to najmędrsi z mądrych, powiada o pątnikach rzecznik dogmatu. Wierzą! Nie pytają, nie wątpią, nie dociekają, tylko wierzą. To wy w nic nie wierzycie, ani w ludzi, ani w ducha, ani w materyę. Oślepili się sami i krzyczą, że nic nie ma, bo oni nie widzą!...

— Ojcze — odrzeka przedstawiciel inteligencyi — czy ojciec myśli, że to bez śladu przechodzi? że jest rozkoszą nie widzieć i nie mieć myślą nawet się gdzie zaczepić?

Przez usta p. Władysława Reymonta przemawia przedewszystkiem wrażenie, wyryte w umyśle jego przez jaźń zbiorową. Ta „Inteligencya“ ponumerowana, pełna konwencyonalizmu, w gruncie zaś zepsuta przerafinowaniem, próżna i bez godziwego celu w życiu, tak szaro wygląda w porównaniu z uderzającą o duszę pielgrzyma falą gromadnego zachwytu i szczerego czynu! Pielgrzymka więc do Jasnej Góry jest nietylko pouczającym przyczynkiem do poznania psychologii tworzącej się gromady, lecz prócz tego uwydatnia nam jeszcze sposób oddziaływania prostoty zbiorowej na jednostkę, przesyconą złożonością życia, usypiania jaźni pojedyńczej, a czującej swoją odpowiedzialność w zbiorowej. Zapał w gromadzie wzrasta w miarę bliskości miejsca świętego, wydając tony coraz trudniej, uchwytne w opisie, duchowość psychologa pielgrzymki równie wypręża się, chociaż w równoległej mierze. W książce daje się czuć rozdźwięk pod względem artystycznym; — zbyt silnemi barwami autor kreślił pierwsze wrażenia, i kiedy doszło do

---

i pustą po za uczuciem wzbudza we mnie niepokonany wstręt! Dreszcz odrazy mnie przebiega, gdy się mnie dotknie; obawa przed tym dreszczem prześladuje mnie ciągle; wspomnienie wstrętu odbiera mi wszelką swobodę myśli. Nie mogę być pięć minut sama, by go nie zobaczyć. A ja muszę! muszę być samotna przez trzy czwarte mego życia! Samotność jedna mnie uspakaja, daje energią, myśl, pobudza twórczość! A po za nią potrzeba mi towarzystwa myśli, nie pieszczot! Oddziaływania na cudze mózgi i drgania pod ich oddziaływaniem na swój! Myśli ogólnej, uczuć ogólnych, wspólnych interesów i celów! A on! on mi daje wstrętną strawę pospolitej namiętności — i chce, by mi ona wystarczyła! O! widzisz pan, nim przyszedłeś, wysłałam go na miasto z listą wymyślonych sprawunków, by zdobyć sobie wolną chwilę. Inaczej byłby tutaj.

KAROL (*milczy zamyślony*).

WANDA.

Widzi pan, doszłam do takiego stanu rozstroju, że brutalnie mówię o tem z tobą. Z początku wiesz pan, byłam mu wzajemną: połączyła nas wspólność zdolności, jego namiętność, pierwsza jaką widziałem, w odosobnieniu chłodnem, sierocem, upoiła mnie jak napój gorący na pół zamarzniętego... Czułam swą wyższość umysłową.

KAROL.

Lecz nie przypuszczałaś, by był tak tępy...

WANDA.

Widzi pan... namiętność w ludziach daje nam często złudne przypuszczenie, że są bogatemi duszami. Była chwila, gdy mnie siła jego uczuć zachwycała... (*macha ręką*) Co tam! Ja grałam, on rozumiał i dawał mi grać. Mieć przy sobie duszę, jeżeli nie umysłowo, lecz artystycznie rozwiniętą, kochającą i sympatyczną... i żyć więcej jako koledzy, niż kochankowie... tak mi się przedstawiało to życie.

KAROL.

I zawiodłaś się.

WANDA (*gorzko*).

Poczułam, że póki przewyższającem pojęciem o kobiecie w mężczyźnie nie będzie pojęcie jej jako człowieka, żyjącego szerzej i w imię dalszych celów, jako umysłowości w samoistnym bycie i wymagających poszanowania jej praw rozwoju i pracy, dopóty ta kobieta rozwinięta zawsze zbankrutuje w małżeństwie; dopóty mężczyzna, uganiając się za jej kobiecością, świadomie lub bezświadomie deptać w niej będzie i krępować człowieka.

KAROL.

Lecz rozwinięta kobieta czekać na zmianę musi, dopóki jej typ nie stanie się większością.

WANDA (*gorzko*).

Wiem, że się tego nie doczekam.

KAROL.

Czy ten stan rozdraźnienia trwa u pani od dawna?

WANDA.

Od dawna! przez jakiś czas zmiana mego położenia oszołomiła mnie, i nie miałam nań krytyki. Lecz przyszła chwila porównania i zdziwiłam się, widząc ogrom różnicy naszych uczuć... Wtedy ogarnęło mnie ogromne, litosne rozrzewnione współczucie... Byłam upokorzona stosunkiem tego, co czułam, do uczuć odbieranych... i to, co dać nie mogłam uczuciem pierwotnem, wynagradzałam tem współczuciem...

KAROL.

A on to brał za miłość...

WANDA.

Tak! i stawał się coraz natarczywszy czulszy... Ujrzałam wtedy, że wskutek rzetelności zdradzam go... co gorsza, wikłam się w coraz głębsze nieporozumienie... Odepchnąć go, otworzyć mu oczy, to zranić go okropnie. Zostać jak dotąd, to go oszukiwać... I w ciągu tej walki wyczerpałam współczucie i został się ogromny i dławiący wstręt!

(*milczenie*).

(*Z zapałem*). Gdy ludzie nauczą się czuć rozumnie i tak bezinteresownie i skutecznie zarazem, że krępować kochanych nie będą... Gdy miłość zdobędzie się na poszanowanie praw wyższych człowieka, a namiętność ukorzy się przed myślą i będzie jednym z jej impulsów, wtedy miłość będzie rajem! Wtedy kochać — żyć!

późniejszych, napięcie obrazów jest słabsze, niż w rzeczywistości.

Zbliżenie pomiędzy gromadą, mającą w sobie zarodki harmonii duchowej, a przybyszem, który od niej odróżnia się nawet strojem, idzie zwolna i zwłaszcza z początku napotyka na trudności. Człowiek inteligentny podziwia namaszczenie na twarzy uczestników kompanii, oburzają go gapie, przypatrujące się tłumom pobożnym, ale lud stroni od niego, bo kultura pozbawiła go słów, któremi zdołałby się włamać do dusz gromady. Lody pryskają powoli. Pątnik-sceptyk zaczyna odurzać się narkotykiem zbiorowości, tchnieniem powabów wiosny. Analiza tego upicia jest nader pociągającą. Na noclegu w Belsku organy brzmią cichą, uroczystą psalmodyą, słowiki w sadach ukryte wylewają całe kaskady niewysłowienie miękkich tonów, miedziane zorze i fioletowe odbłyski przeplotły przyrodę i kładą się na lud zebrany, który śpiewa w ciszy nadchodzącej nocy. „Nie, tylko mieć czucia tyle, aby objąć i wchłonąć to piękno wszystkiego, co się widzi i słyszy — woła p. Reymont. — Dusza jakby się podnosiła ze znużenia i jakby na tych rytmach śpiewów, grania, pieśni słowiczych, woni i barw rozwijała skrzydła, potężniała, rozszerzała się w nieskończoności i piła rozkosz i zapomnienia w tem źródle piękna. Wszystkie twarze jaśnieją, a wszystkie serca zgodnie śpiewają. Czuję, jakbym się zlewał i łączył z tym tłumem obok klęczącym i płynął strumieniem jednym z nimi... Pieśni i serdeczność dźwięków, i te odurzające wonie kwiatów, i tyle uczuć tętniących w tłumie, bije w moje serce i przenika je ekstazą. Nowy dreszcz, nowy i potężny! Klęczałbym na tym piasku, pod granatem niebios, przetykanym srebrem gwiazd, pośród tego tłumu rozśpiewanego. Niech mi tylko nucą coraz ciszej: „dobranoc, wonna lilio, dobranoc!“ niech mi tylko kołyszą duszę te brzmienia łagodne, te rytmy jakieś liliowe, ta harmonia serc zjednoczonych u stóp Niepokalanej.“ Przytoczony ustęp odkrywa drogę, przez którą dogmat wkracza do umysłów artystycznych, nieci tam nowe dążności i wypłasza ztamtąd dawny sceptycyzm. W tym zwrocie nie ma mowy o argumentach i dowodach rozumowanych, tylko działa ekstaza zbiorowa: „te brzmienia łagodne, te rytmy jakieś liliowe, w sojuszu z odurzającemi woniami kwiatów, z granatem niebios i z innemi powabami, które przyroda właśnie roztoczyła wtedy. Takiem jest źródło nawrócenia romantyków, którzy z sceptycyzmu protestanckiego i nawet z chłodnej analizy filozofii naukowej przerzucali się do dogmatu, połączonego z czcią N. Panny Maryi, w tem równie spoczywa przyczyna wezbrania powrotnej fali w powieści francuskiej. Orgie barw i dźwięków, odgłosu płaczów z tłem ekstazy duchowej przelewają się przez mózg, pociągają do siebie, wabią prostotą lub harmonią, w gruncie zaś rzeczy swoim zgiełkiem, przytłaczają myśl, która się przędzie w mózgu ze świadomością — uczucia religijnego, ściślej artystycznego, pod wezwaniem dogmatu.

Po jednej i drugiej takiej kąpieli w potoku ekstazy zbiorowej, po rozmowie z towarzyszami podróży i zaprzyjaźnieniu się z nimi, następuje zupełne zbratanie. Stan zaś nerwowy ówczesny staje się pomostem dla nowych sympatyi. „Dałem się porwać strumieniowi i płynę. Dokąd?... nie pytam, bo mi jest dobrze. Czuję, jakbym się coraz więcej zrastał z nimi. Wchodzę w jakieś ciepłe, mistyczne powinowactwo z temi duszami, zaczynam czuć tak samo, t. j. czuć rzeczy najprostsze. Przyjemność ruchu, oddychanie swobodne powietrzem czystem, zadowolenie odpoczynku pod gołem niebem, zwierzęca rozkosz najedzenia się byle czem i ten sam dreszcz dziwny na widok księży, kościołów, pięknych ceremonialów, złoceń! I tak samo łzy zalewają mi twarz i spazm rozczulenia skręca mi serce, gdy usłyszę poważny głos organów, gdy mnie owionie mroczny chłód świątyń, gdy księża w przemowach używają pewnych pobudliwych wyrażeń: Bóg, kara, cnota, piekło, Amen... i mówią to patetycznemi głosami. Zmęczenie i jednostajność odbieranych wrażeń tak maluje moją wrażliwość, że już wielu rzeczy nie mogę sobie uzmysłowić, o wielu zapominam i dla wielu obojętnieję. Tak się zmęczyłem, że jest mi dobrze z tem, że mnie nikt nie zna i nie pyta o to: że jestem niczem, jednostką, bratem, cyfrą ogólnej liczby pielgrzymów, a nie żadnym panem N lub X, który nie może się pokazać bez maski jakiejkolwiek. Nie jestem nawet wolą, jestem tylko sumą mięśni, wprawionych w ruch i zautomatyzowanych, z natężoną ustawicznie czuciowością. Jestem tylko tętnem jednem tego serca, które ma przeszło cztery tysiące głów. Nikt tu nie ma maski, nawet imienia“.

Ekstaza jaźni gromadnej działa, rysuje w pamięci przyjemność doznaną po każdem poruszeniu, a zatem po spazmie rozczulenia na głos organów i po orzeźwiającym chłodzie świątyni wśród skwarów podróży. Wł. Reymont, kiedy w Częstochowie umyty, przebrany i przeobuty, zobaczył rozchodzących się towarzyszów podróży, to ogarnął go żal, że wędrówka już się skończyła i że wszyscy oni rozlecą się jak liście jesienią, aby się już nie zejść nigdy. Tak, wędrówka się skończyła i jej uczestnicy, nie znający siebie z imienia, zbierali się rozlecieć, ale w każdym z nich pozostał pewien czynnik, który z wszystkich współpątników, rozpierzchłych po dalekim świecie, utworzy przecież całość duchową, posiadającą wspólny punkt ciężkości i wspólne wspomnienia, — po przeżytej i doświadczonej jaźni zbiorowej. Utkwiły tam odgłosy, i drgania i zarodki, z których nieświadomej pracy mózgu powstaną pewne niejasne dążności. Autor „Pielgrzymki“ wstąpił do kompanii jako sceptyk. Pragnął przyjrzeć się pewnym stanom, ale fala zbiorowości uderzyła weń i o jego zmysł artystyczny. Opuścił on zastępy pątnicze jako inna duchowość. Nadal pozostał sceptykiem, ale kiedy na porządek społeczny wyjdzie jakaś kwestya, związana z odnośną sferą zagadnień i interesów, to zachowanie jego na pewno będzie odmienne, niż wtedy, zanim puścił się na świętą wędrówkę. Gdybyśmy zamiast niego wzięli osobę dotkniętą przez bardzo żywą boleść, która nurtując w głębi nie daje ani chwili wypoczynku, to ona może wróciłaby z Jasnej Góry zupełnie nawrócona, jak niegdyś Chateaubriand po stracie matki. Dogmat stanowi w tem wszystkiem rzecz najpodrzędniejszą: w pielgrzymce Hindusów nad święte wody Gangesu wkradłoby się to samo uczucie, jak równie podczas „rozmyślań“, t. j. zapomnienia o wszystkiem w zachwycie — buddhyjskim. Nabożeństwo dla Nirwany pomiędzy wytwornemi damami Paryża, spirytyzm szerszych kół tu i owdzie, neokatolicyzm i wogóle powracająca wśród świata artystycznego fala mistycyzmu dogmatycznego, wszystkie te prądy są tej samej natury. Wszędzie nie dogmat przekonał umysły i nie on je nawrócił. Nie o niego nawet tam chodzi. Analiza stosunku p. Reymonta do gromady pątników rzuca nam światło na rodowód tych zwrotów, przynajmniej na jeden ze strumyków nurtu mistycznego u dawnych sceptyków rzekomych. Wypływa on z artyzmu, z podziwu nad wewnętrznemi stanami wierzącego, wreszcie z zarazy moralnej, doznanej w gromadzie. Ktoś zaczyna skłaniać się ku pewnym obrzędom i zwyczajom, właśnie prowadzony takiemi względami; kiedy zaś już skosztował tego rodzaju słodyczy duchowej, wtedy daje też posłuch filozofii, ukrytej poza ceremoniami. W tym zwrocie dużo znaczą instynkty społeczne. Istota ludzka, porwana przez wir anarchii indywidualnej, zmuszona do wieszania na swojej twarzy obłudnego uśmiechu, orzeźwia się wśród drgań harmonii masowej, przyodzianej w formy niewyszukanego stosunku — szczerego a naiwnego. Może jeszcze coś nowego zaważyło. Po długiej a denerwującej pracy tęsknimy za odpoczynkiem gdzie daleko, w jakiemś cichem, prostem ustroniu; pragniemy nosić zwykłego kroju suknie, jeść niewybredne potrawy, posłuchać wiejskiej melodyi. Powracająca fala mistycyzmu

---

KAROL.

I tego się nie doczekamy.

(*Milczenie*)

KAROL (*smutnie*).

Więc niepodobna ci wybrnąć z tej sytuacyi?

WANDA.

A! gdybyś pan wiedział, co to za piekielne komplikacye do tego! (*milczenie*) te jego koncerty, by mi pozyskać sławę...

KAROL.

Czyś pani tego chciała?

WANDA.

Ja? Ależ każden jego koncert [illegible] mnie policzkiem! To afiszowanie [illegible] światem ze swą miłością pełną za[illegible] siebie, to pracowanie na mnie, ta r[illegible] stwiania... (*zakrywa twarz rękoma*). [illegible] co powiem, bo on gra, jak mo[illegible] lecz ta gra...

KAROL.

Ja nie chodzę na te konce[illegible] grę pani.

WANDA.

On ma więcej techniki, w[illegible] konawczego może... Lecz pa[illegible] miesz — ja stworzyłam te[illegible] w duszy już grały z wrodzo[illegible] wyrazem... Ja nutę każdą [illegible] mówić powinna... (*składa r*[illegible]) ich znaczenie... Każe pyt[illegible] paczy rozbijać się swawolnie... (*stłumionym głosem*) i ja muszę tego słuchać. Sala bije brawa, a jabym miała ochotę... odpędzić go od fortepianu i pokazać jemu i wszystkim, że to parodya! parodya!

KAROL.

Dla czegóż pani słuchasz?

WANDA.

Bo nieobecność na koncercie wziąłby za [illegible]st, za brak uznania.

KAROL.

Czy pani tego pragniesz?

WANDA.

Błagam go zawsze, by zaprzestał!

KAROL.

Lecz mu pani nie tłomaczysz dla czego!

WANDA.

Jakże mogę? Spoliczkować jego dobre [illegible]ci?

KAROL.

Czy nie policzkuje pani talentu?

WANDA.

Ależ on się poświęca dla mnie!

KAROL.

I sprawia pani przyjemność?

WANDA.

Mękę dumy człowieczej i twórczej.

KAROL.

I pani, by mu oszczędzić przykrości, przyjmujesz jego ofiarę, mijającą się z celem, bo jest nim sprawienie pani przyjemności, a zadaje ból.

WANDA.

W innym razie jego duma, jako talentu, byłaby podeptaną (*zakrywa twarz rękoma*). Nie mówmy o tem! On mi już wyrzucał, że na moje usługi zmarnował swój talent twórczy!

KAROL.

Czy go miał kiedy?

WANDA (*gorzko*).

Wszak jest domniemanym twórcą moich kompozycyi.

KAROL (*rozdrażniony*).

I pani znosisz to deptanie swej dumy i wszystkich subtelności swej natury, by jego oszczędzić?... Ależ on ćwierci pani wrażliwości nie ma! Ha! tak dręczyć się dać może tylko kobieta! Przez obawę, by nie zgrzeszyć prawdą brutalną, dać się zabijać. Ależ on panią zabija!

WANDA (*smutnie*).

Powiedziałam to przed panem.

KAROL.

I znosić pani będziesz tę mękę, póki brutalność jego natury nie uderzy cię obuchem.

(*Wchodzą Kazimierz i figura od koncertu*).

KAZIMIERZ (*z zawiścią spogląda na Karola*).

Pan tutaj?

KAROL (*chłodno*).

Jak pan widzisz. Ale już idę, zapóźniłem

artystycznego to równie prąd poniekąd tej samej natury. Umysły wrażliwe, ruchliwe, ale łatwo męczące się, protestują tym zwrotom przeciwko poglądom filozoficznym, zbyt nużącym mózgi i zanadto narażającym na wysiłek. Jak prostota dam francuzkich w przeszłym wieku i sport prostego życia w otoczeniu łąk, białych owieczek, szarych domków nie zmieniły faktycznie trybu życia pasterek salonowych, podobnie uwielbianie prostoty filozoficznej przez pokolenie dzisiejszych artystów przemknie się tylko po powierzchni rozwoju duchowego. Ale oba prądy zrodziły się z tej samej potrzeby: chęci wycofania się ze złożonych, męczących form życia a przejścia do prostszych. Gdyby kompania składała się nie z ludu, lecz z osób zamożnych i tem samem nie odznaczała się taką prostotą w układzie stosunków wzajemnych, to bezwarunkowo nie oddziałałaby tak silnie na autora „Pielgrzymki“.

L. K.

LITERATURA I SZTUKA.

Strindberg i kobiety.

Wrzawa, wywołana swego czasu przez artykuł Strindberga „o niższości kobiet“, dziś dopiero zainteresowała autora o tyle, że próbuje się bronić przeciwko rozlicznym zarzutom. Ale i pismo, które dla sprawy swej obrał („Gil Blas“, d. 24 lipca r. b.) i ton, jakim przemawia, nie zdają się wskazywać, aby barbarzyński ten spór traktował na seryo. Przytaczamy poniżej najciekawsze ustępy z artykułu „Misogynia i Gynolatria“, powstrzymując się całkowicie od wszelkich w tej mierze komentarzy:

„Skoro posiadam opinię „nieprzyjaciela kobiet“ i skoro wszyscy chętnie mnie darzą podobną nazwą, muszę samego siebie zapytać, czy istotnie jestem takim.

Zaglądając więc we własną przeszłość, dostrzegam, że od chwili mojej dojrzałości żyłem zawsze z kobietami w stosunku prawidłowym i że obecnością swą sprawiały mi wrażenia przyjemne, o ile pozostawały wobec mnie kobietami. Ale gdy się stawały współzawodniczkami, zaniedbującemi swą piękność, tracącemi swój czar, nienawidziłem je instynktem zdrowym i naturalnym. Domyślałem się w nich wówczas nieco mężczyzny, oraz pierwiastków mojej płci, do czego w stosunkach uczuciowych mam głęboki wstręt. Postępowanie inne jest występkiem.

Byłem dwa razy żonatym, posiadałem pięcioro dzieci; nieprawdopodobnem jest przeto, abym był wrogiem kobiet. Swoją drogą może w tym zarzucie znajduje się odrobinka prawdy.

Któregoś dnia czytając w dzienniku, że dwanaście kobiet spaliło się żywcem w fabryce, poczułem radość okrutną:

— Dwanaście! Ach!...

Możliwem jest tedy, że dziś, gdy walka o byt stała się niesłychaną i gdy kobiety wchodzą na grunt męzki, zazdrość, usprawiedliwiona obowiązkami człowieka żonatego, wywołała moją nienawiść przeciwko intruzom.

Ale nie w tem powód bolączki.

Zdarzają się w naszych czasach ludzie śmiertelnie zranieni, wyczerpani nadmiarem pracy umysłowej i fizycznej, rozbici, których w chwili słabości ogarnął strach pustki i samotność, którzy, wróciwszy do dziecięctwa, poczuli nieprzepartą potrzebę szukania jakiejśkolwiek podpory, potrzebę złożenia swej głowy na łonie macierzyńskiem. W takich to chwilach, gdy brakuje człowiekowi wszystkiego, nawet filozofii smutku lub blagi, najsilniejszy nie oblicza wcale.

Lekarstwo na mózg wyczerpany istnieje tylko u źródeł życia, do których zejść należy, więc też człowiek-dziecko odnajduje życie, życie nieświadome przy kobiecie, która zawsze jest bez myśli i bez troski. Doznawałam tego sam i przez pomyłkę zmęczonego umysłu, przeceniałem kobietę w takich chwilach, jak w innych przeceniałem dziecko za uciechę, jaką mi sprawiało. Zapominałem, że można się odświeżyć po nadużyciach umysłowych, schodząc po etapach już przeszłych do najbardziej pierwotnego istnienia, że stać się można dzikim, polując, łowiąc ryby; że wreszcie można, nie bez korzyści, obniżyć się aż do bydlęcia, tańcząc, grając i upijając się.

Możemy się zachwycać dowoli naturą, krajobrazem, który bądź co bądź jest niżej nas, a czem się zachwycamy temu przypisujemy nadmierną wartość. Wrócić do kobiety, znaczyło dla mnie wrócić do natury, więc w cząstce mej duszy stawałem się nieświadomym, instynktownym dzieckiem, przez co odnawiały się me siły do myślenia, działania i walczenia.

I z tej to potrzeby, jaką wobec kobiet uczuwamy, wnioskują one o swej wyższości...

...Na szczęście lub nieszczęście — bo różnica nie jest wielką — człowiek ambitny nie może być długo kochanym przez kobietę.

„Kobiety przywykły, dzięki jakiejś nieznanej skłonności ich umysłów, spostrzegać w człowieku utalentowanym tylko jego wady, a w głupcu — jego zalety. Uczuwają wielką sympatyę dla zalet głupca, bo te są nieustannem pochlebstwem ich własnych wad“. Wyrazy te należą do mistrza mego Balzaca, najwierniejszego wroga kobiet, najwierniejszego ich kochanka, zakochanego aż do śmierci. Ale czyż istnieje sprzeczność pomiędzy temi dwoma krańcami? Kochać... nienawidzieć... Miłość — to nieustanna gorączka, przerywana przez omdlenia nienawiści. Tylko obojętność stanowi niemoc.

...Lubiłem zawsze dzieci i zawsze wiedziałem, że te ukochane istotki są małymi zbrodniarzami, dla których prawo nie istnieje, dla których moralność ma wygląd starego tetryka.

Kochałem zawsze kobiety, te czarujące obłąkane zbrodniarki, których najgorsze zbrodnie nie są spisane przez statystykę kryminalną. Ale że okazałem dobry czy zły gust, mówiąc, co o nich myślę, zemściły się, nazywając mnie „nieprzyjacielem kobiet“.

O, gdybyż te mścicielki wiedziały, ile szczęścia przyniosła mi ich zemsta! Ciekawość, pierworodny występek Ewy, przyciągnął do wyrodka mnóstwo naiwnych i wyrodek nie stawiał przeszkody w zaspokojeniu ciekawości najciekawszych. Ciekawość zresztą łatwa do zadowolenia. Dzięki wam, rozkoszne nieprzyjaciółki!

...Dwa tysiące mężczyzn pracuje nad własną zgubą, poświęcając się wyzwoleniu kobiety. Emancypacya kobiety, to znaczy pozbawienie zajęcia mężczyzny, nędza wykształconej męzkiej klasy, i wytworzenie dwupłciowej klasy kobiecej. Niech sobie niewiasty zdobywają nasze miejsca, niech czynią niesłychane próby, niech wyzwalają się z obowiązków rodzinnych, niech się nawet buntują przeciw macierzyństwu. Ale co mówić o mężczyznach, którzy rujnują fundamenty własnych fortec? Czyż stracili poczucie własnej płci? Czyż ich instynkt samozachowawczy zniszczył się na korzyść niewiast?

Prawdopodobnie, ponieważ się czują niższymi, stracili pojęcie o swej płci, a uwielbiając kobiety, wielbią nie kobiety, lecz... mężczyzn. Przewrotność!

Ubóstwianie kobiety jest ostatnim przesądem, wprowadzonym do Skandynawii przez Eskimosów, którzy się domagają odbudowania społeczeństwa na nowych podstawach, pragną nowego społeczeństwa dwupłciowego, podtrzymywanego przez karyatydy, wyobrażające amazonki.

Jeżeli czuję nienawiść do emancypantów, to dla tego, że lubię kobiety, i że gdyby

---

się. Żegnam panią (*całuje rękę Wandy*). Do widzenia.

(*Wychodzi.*)

WANDA (*wstając*).

Ach, zapomniałam mu powiedzieć, poczekajcie chwilkę (*wychodzi*).

KAZIMIERZ (*do figury*).

Siadaj pan (*patrzy niespokojnie na drzwi zamknięte, idzie w ich stronę, otwiera je*). Wandziu!

WANDA (*zniecierpliwionym głosem*).

Zaraz idę: nie przeszkadzaj.

KAZIMIERZ.

Czyż nie mogę słuchać?

WANDA (*j. w.*)

Nie, nie możesz. Więc potem pomówimy, panie Karolu. Do widzenia.

(*Staje w drzwiach naprzeciwko męża*).

KAZIMIERZ.

O czem ja nie mogę wiedzieć?

WANDA (*rozdrażnionym głosem*).

Zaczynasz być nieznośnym; ciekawam dla czego miałabym ci wszystko mówić. Nie jestem pensyonarką, a ty przełożoną pensyi.

KAZIMIERZ (*drżącym głosem*).

Jestem mężem.

WANDA (*uspakaja się gwałtem*).

Wiesz, że ten urząd pozbawiony jest dla mnie powagi, jesteś Kaziem, nieznośnym dzieciakiem, który się mojej sukni trzyma oburącz.

KAZIMIERZ (*całuje ją w głowę, ona się wstrząsa*).

Powiesz potem?

WANDA (*hamuje się*).

Zobaczymy.

(*Podchodzi do figury*).

FIGURA.

Czy wiesz pani o świetnem powodzeniu...

WANDA.

Mego męża? Wiem.

FIGURA.

Państwo stanowicie jedną całość i pani powinna brać do serca dwuznacznika, umi[illegible] czonego w recenzyi.

WANDA (*rozdrażniona*).

Stanowimy bardzo różne dwie całości: twórczość jednego z nas nie jest naszą, [illegible] tego z nas, w którym działa. Talenta się n[illegible] wlicza do inwentarza małżeńskiego. A ra[illegible] pan pamiętać, że choć na tego rodzaju potwar[illegible] i krzywdy nie ma trybunału, bo nie ma d[illegible] wodów dostatecznych dla wymierzenia sprawie[illegible] dliwości, są one gwałtem, podłością.

KAZIMIERZ.

Wandziu, jest sposób: moje wystąpienie.

WANDA.

Ha! ha! które wezmą za nowy dowód ofiarności mężowskiej! Daj pokój! Twórczość jest nagrodą samą w sobie; — ja tworzę, a że przypisują tobie tytuł własności... zabierz go w nagrodę za twe poświęcenie! (*po chwili*). Czy warto się sprzeczać?! O imię?! Dusza twórcza zostanie w mych dziełach! moja, moja dusza! A że to ja, która w nich drga i innymi wstrząsa nazwą Wandą czy Kazimierzem... mniejsza! (*zwraca się do męża*). Chciałam cię tylko prosić Kaziu... byś zaprzestał upiększać moje utwory ozdobnikami i trelami twego wymysłu... mogą one być bardzo piękne i dobrze [illegible] dczyć o twej technice i... twórczości, lecz [illegible] na miejscu. Chyba, że i ty uważasz że [illegible]ompozycye są „naszymi“.

KAZIMIERZ (*smutnie*).

[illegible]ndziu, dla czego mnie obrażasz nie[illegible] wyrzutem?... One są twoje... prze-

FIGURA.

[illegible]nie szanowny, twe dodatki znako[illegible] wartość tych dzieł.

WANDA (*ostro*).

[illegible] należy prawo rozporządzania [illegible]

FIGURA.

[illegible]sz, nie słuchając rad doświad[illegible] y, fachowca obeznanego z gu[illegible] i... Jeżeli będziesz trwała [illegible] dów, dokazanych przez męża, [illegible] powodzenia.

([illegible]dalszy nastąpi.)

się ich słuchało, nie byłoby wkrótce kobiet wcale.

Wróćmy do porządku!

M. P.

Kobiety w poezyi nowoczesnej.

(Laura Marholm „Wir Frauen und unsere Dichter“.)

Przed dwoma tygodniami zaznajomiliśmy czytelników „Przeglądu“ z treścią „Księgi kobiet“ Laury Marholmowej. Dzieło to w przeciągu krótkiego czasu wyszło już w trzeciem wydaniu i narobiło wiele wrzawy w kołach kobiecych. Feministki w zacietrzewieniu zaczęły wołać w niebogłosy, iż autorka śmiertelnie obraziła cały świat kobiecy i sprzeniewierzyła się sprawie emancypacyi kobiet. Renegatka i heretyczka śmiała postawić wyraźnie kropkę nad i. i wypaplała szczerze to, co spoczywało utajone na dnie duszy kobiecej. Feministki widzą alfę i omegę zbawienia rodu niewieściego w zupełnem uniezależnieniu kobiety od mężczyzny: niektóre zaś z nich zagalopowały się do takiego stopnia, iż rzuciły rękawicę całemu rodowi męzkiemu. Laura Marholm zdarła nielitościwie iluzyę z wybryków feministek i nazwała je po imieniu; pierwszym warunkiem szczęścia dla zupełnej woli i ekonomicznie niezależnej kobiety jest miłość ku mężczyźnie. Podniesiony alarm jeszcze nie ucichł, gdy Marholmowa ogłosiła nową pracę, pt. „Wir Frauen und unsere Dichter“, w której znowu wyraźnie zaakcentowała swe przekonania. Książka jest pisana nadzwyczaj pięknym stylem; szkoda tylko, że treść pierwszej połowy nosi zabarwienie zbyt niemieckie i dla tego mniej zainteresuje ogół niewieści innych krajów. Przewodnia myśl książki da się streścić w sposób następujący:

I w Niemczech wybija już na zegarze historycznym ostatnia godzina niewolnictwa kobiety. Maluczko a przestanie ona uważać siebie za nic nieznaczące zero, które jednakże w połączeniu z jedynką — mężczyzną, daje pokaźną dziesiątkę. Wydawało jej się, że całkowita treść jej osoby jest śpiącem, zaczarowanem królestwem, które na skinienie jego czarodziejskiej różczki obudzi się do życia. Czasy te prawdopodobnie bezpowrotnie minęły. Pod tchnieniem nowych prądów rozwinął się w niemieckiej niewieście pierwiastek indywidualności i pod parciem tej siły stawia ona sobie pytanie: „któż ja jestem?“ zamiast, jak niegdyś, zapytywać się: „czyją ja jestem?“ Chce ona, jak Ewa, sama zrywać owoce z drzewa poznania dobrego i złego i dzielić się z mężczyzną, nie czekając, nim on to uczyni. Wprawdzie tendencya ta przyjęła dotychczas dosyć jednostronną formę. Współczesna kobieta niemiecka chce się stać przedewszystkiem jednostką ekonomiczną, istotą niezależną. Do tego mianownika da się sprowadzić istota boju emancypacyjnego, prowadzonego na forum publicznem i w zaciszu ogniska rodzinnego, w zebraniach kobiecych i w szpaltach prasy. Toczy się walka gorąca, zawzięta, w której przypłaca się często tryumfy skarłowaceniem samej natury kobiecej. Lecz oto na klawiaturze duszy kobiecej zaczyna rozbrzmiewać nowa melodya. Wprawdzie dotychczas słyszymy tylko pierwsze dźwięki, które nam niewiele mogą powiedzieć. Lecz już sama introdukcya napełnia serce kobiece dreszczem rozkoszy i jest zapowiedzią nowych, nieznanych prawie dotąd dążeń. Jestto „przeświadczenie o tem, iż istota kobieca przebyła pewien rozwój i wstępuje obecnie w stadyum uświadomienia swego „ja“ (des Ichbewusstseins). Cała dotychczasowa historya ruchu kobiecego była właściwie przygotowaniem fundamentu, na którym zostanie zbudowany nowy gmach. Najlepiej odzwierciedla dotychczasowe koleje emancypacyjnego ruchu literatura, ponieważ sama odgrywała w nim rolę ważnego czynnika. Poeta musiał przyjmować udział w losach kobiety, gdyż do nieba marzeń wprowadzała go zwykle jakaś Beatrice. Niemieccy poeci naszego stulecia, bez różnicy kierunków, poeci klasycyzmu, romantyzmu, 48-go roku i ich epigonowie, tworzyli, zapatrzeni w postać białogłowy. Stosunek pomiędzy mężczyzną a kobietą został jakby uduchowionym, wysubtelnionym. Wprawdzie rola każdego z nich była odmienną: on był skrzypcami a ona instrumentem, którego struny współbrzmiały cicho a czule, gdy o nie uderzała fala tonów duszy pokrewnej. I te właśnie tony grały często rolę pobudki. Pod wpływem książek zajaśniały w duszy Niemki błyskawice nowych potrzeb. I choć dalej gotowała kawę, trzepała dywany, przyjmowała gości, cerowała i heklowała, z poezyi wpływały strumieniem do jej serca wzniosłe myśli, które pozostawiały tam niezatarte ślady. Podczas jej służby pańszczyźnianej w gospodarstwie poeta pieścił jej ucho słodkiemi motywami o bogactwie jej duszy i zdawało się, że motywy te opasują ją swemi ramionami i unoszą na wyżyny, gdzie pierś oddycha swobodniej. To też bardzo wiele robiło wysiłki, by wzlatywać nad poziomy; te, które posiadały talent, wzbijały się dosyć wysoko, inne, zatrzepotawszy słabo skrzydłami, spadały z powrotem na ziemię, by zostać skazanemi na szare, monotonne życie, równające się wegetowaniu, bez przebłysku nadziei wyjścia kiedykolwiek z deptaka pracy niewolniczej. Lecz czasy się zmieniły. Poeci przestali być rycerzami, błagającymi na klęczkach o niebiański uśmiech; galanterya poszła do kąta. Już „młode Niemcy“, które pchały społeczeństwo swoje na nowe tory, starały się w kobietach rozdmuchać iskrę niezadowolenia w pożar protestu; poeci tej epoki, widząc się samotnymi, upatrywali w kobietach dusze współczujące, zachęcające do walki. Wstrząsali oni kobietami, robiąc poczęści przewrót w ich duszach, ale pryzmat apostolstwa i idealizacyi nie pozwolił im widzieć niemieckiej kobiety w świetle prawdy.

Pierwszy, któremu się udało odfotografować, odcyfrować i odczuć duszę kobiecą, był Keller. U niego widzimy dobrą, poczciwą Niemkę, która potrafi oddać się całą duszą, przelewając w miłość swą pełnię swej istoty ze swą pierwotną inteligencyą, sięgającą głębi instynktu. Były to wprawdzie dusze pierwotne, które stały dopiero na progu świadomości. Dzięki temu, że niemiecka kobieta ujrzała swe odbicie w utworach Kellera, zaczęła poznawać siebie. Te same zasługi a nawet większe posiada względem niemieckiej kobiety Paweł Heyse. Nie był on specyalistą od pewnego gatunku kobiet, jak to widzimy obecnie u francuzkich pisarzy. Heyse starał się odkryć w kobiecie jej zupełnie specyficzne „ja“, którego mężczyzna nie może zrozumieć, gdyż mierzy je łokciem własnego ducha i stara się je ująć w kategorye swego własnego wewnętrznego świata, który jest przecież czemś zupełnie odrębnem. Kobieta dotychczas występowała w powieści, jako niedoświadczona parafianka, widząca w mężczyźnie fetysza. U Heysego odzywa się w niej od czasu do czasu nuta sceptycyzmu, lecz w każdym razie rzadko. Gdy Niemka czytała Heysego, drgały wszystkie struny jej duszy, z których ten autor swą delikatną ręką wydobył czarujące pieśni o urokach jej serca. Lecz czasy sielankowe mijają i oto odzywają się odległe grzmoty walki emancypacyjnej.

Na Olimpie zasiada Ibsen, pasujący kobietę na rycerza boju. Jego bohaterki są córami innego pokolenia, owianego smutkiem struggle of life, tej nieubłaganej walki, która wżera się w każdą porę duszy i osusza każde źródło radości, ta walka o byt wycisnęła swe piętno i na światopoglądzie kobiety. To, co ją wiąże z poprzednią generacyą, jest — jak wyraża się Marholmowa — „der Ausspruch an die Cultur ihres Ich“. U Heysego panuje atmosfera świąteczna, wiosenna, słoneczna; u Ibsena jest życie powszednie, szare i smutne. Kobiety pierwszy raz zapytują swych opiekunów, dla czego zabierają im światło i powietrze, dla czego chcą

SVEN LANGE.

ENGELKE.

Tłomaczyła **Marya L.**

(Ciąg dalszy.)

Po upływie dni kilku — poszedł. Na odgłos dzwonka zjawiła się w przedpokoju służąca, która w drzwiach zaraz mu oznajmiła, że nikogo w domu niema i pan poszedł z panienką w odwiedziny. Zdziwiło go to trochę, gdyż nigdy ich dotąd razem wychodzących nie widział, lecz zresztą... być może... Dnia następnego wieczorem przyszedł znowu: lecz i teraz w domu ich nie było. To szczególne! Zapytał służącej, dokąd pójść mogli? nie wiedziała, sądziła jednak, że w najbliższym czasie wszystkie zajęte mieli wieczory.

Zwolna schodził po schodach. To najoczywistsze kpiny! — myślał. Co to wszystko znaczy? cóż się stało? Cóż u licha stać się mogło!

Przyszedłszy do domu postanowił napisać do Engelki i prosić ją o rozmowę. Był w obawie i szczerze zmartwiony, gdy list rozpoczynał, lecz w miarę pisania, stawał się ton listu, mimo jego woli, coraz więcej żartobliwym. Dziwił się niezmiernie nagłemu wzrostowi ich towarzyskich uczuć, teraz, kiedy sezon miał się już ku końcowi. Chyba tem nie osłaniają złośliwych jakich planów?

Czy gniewa się jeszcze na niego? Czem mógłby grzech swój, którego zresztą nie uznaje, odkupić? Możeby owego misyonarza ludowego Nörgaarda o przebaczenie prosić?! tego chyba nie żąda ona od niego. Co właściwie zaszło?... „Engelko, ja się boję!“ — pisał — „przyjdź jutro do mnie, przyjdź, porozumiemy się trochę; czy nie jesteś znowu na obiad gdzie proszona?...

Nazajutrz siedział w pokoju swym, niecierpliwy, niespokojny... czekając na nią. Zadzwoniono: czemprędzej wyszedł do przedpokoju, lecz w miejsce Engelki ujrzał we drzwiach posłańca. Wziął gniewnie list z jego ręki i wszedł do pokoju.

W środku pokoju przystanął — czuł, że blednie: w liście poczuł przez kopertę coś twardego.

Przez chwilę patrzał w osłupieniu na kopertę.

„Wielmożny asesor Jerzy Bergström“... poznał drobny delikatny charakter jej pisma. Wyjął scyzoryk z kieszonki, otworzył go i mechanicznie prawie przeciął kopertę. Teraz wypadł z niej pierścionek, jej pierścionek! Załączoną była karta z słowami: „od Engelki Pauli“ własnoręcznie przez nią napisanemi, — ani słowa więcej.

— Od Engelki Pauli! — to wszystko!

Odłożył kartę na koszyczek, a pierścionek wraz z scyzorykiem wsunął do kieszeni. Doszedł do okna i wyjrzał.

— A więc już po wszystkiem!

— No, ale cóż dalej?... Stał tak długo w zamyśleniu. Nagle tupnął gniewnie nogą, a krew uderzyła mu do głowy.

— To być nie może! ależ to szaleństwo! — wykrzyknął głośno. — Co to ma znaczyć? Naturalnie, że musiał ojciec sprawę tak pokierować... lecz poczekaj, moje dziecko, wszak i ja tu mam głos w tej kwestyi!... Ja miałbym Engelkę stracić! Boże, co to się stało? — wykrzykiwał oburzony, jak gdyby teraz dopiero pojmować zaczynał, co zaszło... Engelkę stracić! moją drogą, kochaną, jedyną, małą dzieweczkę! ją, którą tak kocham!... Cóż oni z nią uczynili? Co zaszło na Boga? To nieporozumienie chyba, kłamstwa, oszczerstwa być musza! A może, powaryowali wszyscy — zapewne oszaleli wszyscy!... Co tu robić?... prędko, któraż to godzina? — Spojrzał na zegarek: było pół do dwunastej.

Czemprędzej wpadł do przedpokoju, porwał kapelusz i szybko zbiegł ze schodów.

— Teraz jest pora śniadania — pomyślał — muszą zatem być w domu. Wejść do nich

im podciąć skrzydła, choć sami im następnie robią wyrzuty, że nie szybują pod niebiosami. Ibsen wpuścił do zmroku średniego stanu promień, który oświetlił całą nędzę i ubóstwo bytu kobiety w tej sferze.

U Heysego wszystko tchnie sympatyą i zgodą, tu zaś wre walka nieubłagana, bez względów i pardonu. Typy Ibsena są na wskroś nowoczesne. Oto mamy przed sobą Heddę Gabler, istotę bezpłciową, olśniewającą flirtem, przyciągającą mężczyzn dla zabawy, lecz odpychającą ich, gdy chcą awansować. Marholmowa odkrywa w niej w pewnem znaczeniu pierwowzór kobiet, głoszących ewangelię bratersko-siostrzanej miłości pomiędzy mężczyzną a kobietą. Jestto rodzona siostra Swewy z „Rękawiczki“ Björnsona, tej naiwnej dzieweczki, która żąda od mężczyzny niepokalaności, i Anny Mahr, studentki z „Samotnych“ Hauptmanna. Podobny typ znajdujemy już „W raju“ Heysego. Nie należy atoli zapominać, że kobiety północnych pisarzy są zawsze plebejuszkami. Mamy tu do czynienia z inteligentką, pochodzącą ze średniego stanu, nieomijającą szkopułów życia i zwalczającą jego sprzeczności, gdy grożą zgnieceniem jej. Masa kobiet pozbywa się zależnego stanowiska w rodzinie, odgrywając niekiedy rolę głównej podpory. Kobieta przestaje być darmozjadem, laleczką. W świecie ścierania się interesów, w świecie podstawiania sobie nóg i kopania dołków i ona stoi jako równoprawna bojowniczka. Bierze przebojem zawód za zawodem i wreszcie zostaje wpuszczoną wszędzie, dokąd jej zagradzały drogę przesąd i tradycya. Wkrótce prawdopodobnie twierdza niewolnictwa kobiecego zupełnie runie. I gdy pracujące kobiety, po wielkich trudach i wytrwałości, skołatane życiem, osiągają cel i wchodzą do ziemi obiecanej wolności, co wtedy? — zapytuje Marholmowa. Gdy zajrzę do lustra, widzę, „iż wzrok ich jest zmęczonym, policzki wpadły, skóra zwiędła i zblakła od bezkrwistości, czują się osłabionemi i spracowanemi; najsłodsze instynkty kobiece milczą w nich lub przemawiają dorywczo i nierówno. Praca i praca — radości mało. Na cóż im więc wolność?“ Lecz niech kobieta zajrzy do innego zwierciadła — do literatury. Nie owionie jej lekki zefir, muskający pocałunkami miłosnego uniesienia; poeta nie prowadzi jej przez raj słodkich marzeń w objęcia ukochanego mężczyzny. Piewca kobiety opowie jej, że jest wyrzutkiem, wszetecznicą, ciężarem, którego się trudno pozbyć, zbytkiem, pochłaniającym krocie, malum necessarium, jest subjektem lub objektem, który nigdy niepotrafi zrozumieć mężczyzny, zajrzeć do tajników jego duszy, zakompaniować jego uczuciom. Tak wygląda kobieta u Strindberga mizogyna. Lub weźmy innego pisarza północy: kobieta jest wieczyście stworzoną dla niewoli; jest zbyteczną i szkodliwą, dopóki pozostaje kobietą, znośną tylko wtedy, gdy wyrzeka się swej płci. Tak przemawia Tołstoj. I oto stają naprzeciwko siebie mężczyzna i kobieta, i zamiast kochać się, nienawidzą całą duszą i szczerzą zęby. Przerwaną została nić wzajemnego zaufania i sympatyi. Tu Marholmowa daje wodze swemu rozgoryczeniu. Utylitaryzm, który zapanował we wszystkiem, stał się probierzem i w kwestyi kobiecej. Czyż potrzebna mężczyźnie udelikatniona kobieta? Bynajmniej! Jest mu nawet niewygodną. Gdy mu brak pieniędzy, poślubia bogatą pannę; gdy zachciało mu się gniazdka rodzinnego, żeni się ze swą kochanką, t. zw. Verhältniss (w Niemczech każdy przeciętny młody człowiek i każda przeciętna panna ze stanu średniego i niższego, mają t. zw. Verhältniss). Uzdolnione, szlachetniejsze, są pozbawione praw do miłości i dla tego też łączą się razem, stroniąc od mężczyzn. Tkwi w tem wielka tragedya. Kto interesuje się tą kwestyą, niechaj przeczyta pamiętnik Baszkircewej lub biografię Soni Kowalewskiej, napisaną przez Edgren-Leffler-Cajanello, a wtedy się dowie, jak kobieta stara się uciec od mężczyzny, zyskuje własną pozycyę i przez fatalizm lub nieubłaganą siłę ciążenia wraca znowu do punktu wyjścia i skierowuje swe liście w stronę słońca — mężczyzny.

Takie są ogólne wywody autorki. W szczegóły, oczywiście, wdawać się nie możemy. Pełną ciepła i uczucia jest charakterystyka poezyi Heysego. Po mistrzowsku kreśli autorka dwa okresy działalności Ibsena: pierwszy, gdy walor ideałów a między innemi kobiecego, podnosił się w górę — i drugi, okres à la baisse, gdy Ibsen, jak paw, zaciera ogonem ślady swej poprzedniej wiary, uniesień i marzeń.

Nadzwyczaj udatnie i z pewnym humorem jest skreśloną sylwetka Björnsona, żądającego coute que coute od mężczyzny niewinności. Trafnie w związku z tem jest opisane upojenie emancypacyjnego ruchu w Skandynawii. „Nikt nie zrozumiał wtedy — mówi autorka — że w ruchu tym wystąpiła na jaw jałowość wyobraźni i charłactwo duchowe średniego stanu, który dziękuje Bogu, gdy „ulokował“ swe dziecko i płacze z radości, gdy zostaje uwolnionym od trosk o wydanie zamąż córki“. Tem właśnie tłomaczy sobie autorka znaczną popularność teoryi Björnsona wśród chłopów. Są oni wielkimi przyjaciołmi ruchu emancypacyjnego kobiet. Że kobieta powinna pracować na równi z mężczyznami — do tej myśli norwegski chłop dawno się przyzwyczaił; nie jest dla niego nowością, że niewiasta w sprawach gospodarstwa i zarobku powinna posiadać prawo głosu. Najbardziej zaś przypada mu do smaku, że zamiast zubożyć kieszeń ojca, córka wniesie do szkatuły rodzinnej swą długoletnią pracą, jeszcze kilkaset talarów. Wprawdzie córka nie zazna rozkoszy miłosnych, ale wynagrodzi to sobie zaoszczędzeniem grosiwa, które pozostanie w rodzinie.

Wycieczki przeciwko lekkomyślności mężczyzn, zaprawione biblijnem krasomówstwem, zastępują mu miejsce kazań kościelnych, które przy odpowiedniej stylizacyi i w dozach homeopatycznych jeszcze na długo nie stracą kredytu w jego oczach. *H.*

Tomasz Henryk Huxley.

Druga połowa naszego stulecia, o ile wykończyła i ukształtowała teoryę rewolucyjną pod względem naukowym może być nazwana śmiało okresem przewagi angielskich myślicieli. Pominę tę okoliczność, że życie ekonomiczne Zjednoczonego Królestwa po raz pierwszy natchnęło badaczy gospodarki krajowej myślą o stałej i rozwijającej się zmienności zasad ekonomicznych; pominę także i ten fakt, że w Antropologii uczeni anglo-saksońskiej rasy, mający najlepszą sposobność do badania zamikających ras i plemion w Ameryce i Australii, pierwsi ugruntowali systematyczną i iście naukową ewolucyę ludzkości. Niezależnie od wszelkiego postępu, jaki nauka ostatniemi czasy zrobiła i wciąż robi, cały nasz gmach filozoficzny, pod dachem którego skrzętnie gromadzimy nowe szczegóły, opiera się bezwarunkowo na czterech kolumnach, których nazwy są: Darwin, Huxley, Tindal i Spencer.

Dnia 29 czerwca b. r. z tej czwórki tylko Spencer pozostał żywym; Huxley bowiem, po kilkomiesięcznej walce z chorobą, zmarł w Eastbourne, morskiem miejscu kąpielowem na południu Anglii. Smutna wieść dotknęła niemal wszystkich mieszkańców kraju, gdyż niewielu znajdujemy tu takich, którym obce jest nazwisko zmarłego uczonego. Z pośród tych czterech nazwisk imię Darwina rozlegało się jak grom, nawołując jednych do gromadzenia się pod sztandarem prawdy, drugich strasząc jako nieczysta siła; imię Spencera ostatniemi czasy zbyt często pojawiło się na polu starć politycznych, by nie być obrzucone błotem, jakie ciskają zwykle pyszałki i ciury wszystkich obozów; Tyndall był zawsze spokojnym, oderwanym od życia uczonym, który szukał odosobnienia. Inaczej zupełnie postępował Huxley.

W swej króciutkiej autobiografii, która poprzedza zbiorowe wydanie popularnych rozpraw autora „Świeckich kazań“, Tomasz Henryk

---

muszę, chociażbym miał drzwi wysadzić! Tego już trochę zanadto!

Szybko przebiegał ulicę, myśląc o tem, jak tam wejdzie, co im powie? Doktora nie obawiał się bynajmniej; może nie wiedział on nawet o tem, co uczyniła córka, — któż mógł to wiedzieć? Lecz, gdyby to nawet za jego stało się zgodą, za jego inicyatywą, wówczas cieszyłby się właśnie ze sposobności podjęcia z nim walki. O, bo miał on teraz siły olbrzymie! czuł to dobrze. Lecz Engelke? tak, cóż jej powie? Ach, to byłoby nie do pojęcia, gdyby tak nagle stracić miał swą nad nią władzę! To wprost niemożliwe! Gdyby tylko odczuć umiała, jak on ją kocha! w tem najlepsza broń jego na jej upór... a jak on ją kocha!

Teraz doszedł już do celu, stanął przed bramą i w tejże chwili podniósł oczy; lecz nagle doznał uczucia, jak gdyby go coś w piersi ukłuło, tak gwałtownie, że tchu mu prawie zabrakło... Na parę kroków przed nim stał Nörgaard. Bergström stanął jak wryty. Nörgaard spojrzał na niego, podszedł więc bliżej jeszcze, sam nie wiedząc co czyni, — oczy zwrócone miał wprost na przeciwnika, którego spojrzenie spokojnie wytrzymał... Nörgaard niedbale uchylił kapelusza, a na bladej jego, szkaradnej twarzy, ukazał się gorzki uśmiech.

— Dzień dobry! — rzekł. — Pan w tę samą, zdaje się zmierza stronę, panie Bergström?

— Nie!... właściwie... jąkał się drugi — ja...

— A więc nie? — śmiał się Nörgaard, ukazując żółte swe zęby. — To się rozumie zresztą; ludzie rychło się poznają na oszczercy!

Spojrzał na niego z nienawiścią i znikł we drzwiach natychmiast.

Bergström pozostał osłupiały. Poszedł potem w dół ulicy, patrząc przed siebie nieprzytomnie. Nagle jednak wrócił się i przybiegł prawie do bramy; tu znowu zatrzymał się bezradny... Co tu począć?... Nörgaard... on tu... Co to było właściwie?

Przez chwilę stał, patrząc bezwiednie na bramę zamkniętą... To przecież niemożebne... szalone... może śni tylko? mimowoli oczy ręką przetarł... może to złudzenie? przykra wizya?... Skąd on się tu wziął? Jemu zabroniono tu przychodzić...

Jemu zabroniono... — powtarzał z rozpaczą. — A może... — pomyślał, jak gdyby nagle mu się rzecz wyjaśniła. — Już wiem to jest rozwiązanie zagadki... Tak!...

— Szatan! — krzyknął na głos, ku wielkiemu zdziwieniu przechodniów; to go oprzytomniło, poszedł więc dalej. Szedł z głową spuszczoną, a goryczy wzbierała w nim coraz bardziej. — Chwała Bogu — pomyślał, że mi się oczy otworzyły!... takie indywidua! miły Boże!... A z nią miałem rzeczywiście odwagę, na całe związać się życie!... Czy słyszał kto coś podobnego? Jakie to w rzeczywistości wszystko tchórzliwe, zwyczajne! żeby przed takim Nörgaardem plackiem padać na ziemię! Szkaradne... do licha!

Uczuł zimno dotkliwe, dla tego pospieszył do domu. Był już zupełnie zdecydowany na to, co uczynić teraz zamierzał.

Przyszedłszy do domu, siadł przy biurku i nie namyślając się ani chwili, zdjął pierścionek z palca, włożył go do koperty i dołączył kartę ze słowami: „od Jerzego Bergström“ — nic więcej. — Równem odpłacić należy! — rzekł do siebie. Nawet pismem swojem naśladował pismo Engelki, ozdabiając je różnemi upiększeniami. Chciał, by tchnęło melancholią... włożył je potem do koperty i odesłał.

Z podniesionem czołem, ze spokojem oczekiwał teraz dni następnych. Lecz ciężej mu było, niż przypuszczał. Myślał ciągle o Engelce i... tęsknił... Tak, ta tęsknota za nią, którą widok Nörgaarda w pierwszych dniach trochę był przytłumił, stawała się teraz z dniem każdym żywszą, i cicho, lecz stanowczo, wkradała się w jego duszę... Gdziekolwiek był, widział w myśli delikatną jej postać, słyszał wszędzie głos jej cichy a oczy jej jasne czuł obok siebie ciągle... Teraz dopiero czuł, jak bardzo ją kocha... teraz gdy stracił ją nazawsze! Wobec dzisiejszej miłości, jak słabem, drugorzędnem, mimowolnem prawie — wydało mu

Huxley z pewną lubością wspomina o swej matce, która była „wysmukłą brunetką“, wrażliwego i energicznego temperamentu, o tak przenikliwym wzroku, jakiego nie spotkałem u żadnej kobiety. Bez większego wykształcenia, jakie wówczas było udziałem kobiet z klasy średniej, miała ona wszakże olbrzymie zdolności umysłowe. Gdy jej ktoś zauważył, że przychodzi do ostatecznych wniosków bez długiego namysłu, odpowiada spokojnie: „Nie mogę temu zaradzić; sprawy te przenikają mnie błyskawicznie!...““ I Huxley upomina się o to, że odziedziczył po matce i tę błyskawiczność myśli, i tę energię, i ten zapał, i tę wrażliwość. Zobaczymy, że uczony ma słuszność, że spadek ten rzeczywiście i na szczęście ludzkości całej odziedziczył.

Innym był ojciec Huxley'a, nauczyciel z zawodu. Umysłu leniwego, pedagog ten spełniał swe rzemiosło sumiennie, ale bez zapału i bez samodzielności. I nie dziw temu, bo wówczas szkoły angielskie, a przedewszystkiem prywatne, smutny przedstawiały widok. Ojciec Huxley'a był wszakże sumiennym pedagogiem, rozumiejącym dobrze, iż syn jego, pomimo wszelkich starań, niewiele korzyści wyniesie ze szkoły. To też doradził on synowi pracować samemu, czytać w domu, zaznajamiać się z literaturą obcą, a w szczególności z literaturą niemiecką. Tak kształcił się Tomasz Henryk bez systemu, bez planu, aż do siedemnastego roku życia, kiedy ze szkoły ojcowskiej przeniósł się do szkoły medycznej w Londynie. Huxley wybrał studya lekarskie bez wszelkiego do nich zamiłowania; przez długi czas nosił się on z projektem ukończenia szkoły technicznej, ale ostatecznie wybrał medycynę. W Londynie nauka nie szła wcale lepiej; oto co pisze sam Huxley: „Przypominając sobie „L e h r j a h r e“, nie sądzę, by sprawozdanie z nich mogło być budujące. W samej rzeczy raczej uroczyście ostrzegałbym pracowitą młodzież, by nie naśladowała mojego postępowania. Pracowałem usilnie, gdy miałem ochotę, a gdy takowej nie było, co się zdarzało bardzo często, próżnowałem (trudno nazywać karykaturowanie profesorów i pastorów pracą) — albo też traciłem mą energię, zużywając ją bezpłodnie w najrozmaitszych kierunkach. Czytałem wszystko, co mi w rękę wpadało, włączając i powieści, i rzucałem się na różne sprawy, które zaniedbywałem z tą samą chyżością. Bezwątpienia muszę winę w znacznym stopniu sobie samemu przypisać, ale z drugiej strony zaznaczę, że jedyne przyzwoite i systematyczne nauczanie, które przypadło mi w udziale, stanowiły lekcye fizyologii profesora Wharton Jones'a...“ Wpływ tego ostatniego na młodszego Huxley'a musiał w istocie być wielkim, kiedy, jak wiemy, wszystkie późniejsze prace i badania uczonego angielskiego poświęcone były głównie fizyologii i anatomii porównawczej.

W 1846 roku Huxley był już lekarzem. Z początku osiadł on w biednej dzielnicy miasta, by nieść pomoc ubogim, ale żądza wiedzy i ta ciekawość, która go pchała do badań anatomicznych, pomimo fizycznego wstrętu, jakiego doznawał przy dyssekcyach, zmieniły tryb życia wrażliwego i demokratycznie usposobionego Huxley'a. Właśnie wtedy młody lekarz poznał się z John Richardsonem, uczonym podróżnikiem, znanym ze swych podróży polarnych, którego wszyscy nazywali „Old John“. Pomimo pozornie okazywanej obojętności „stary John“ zajął się młodym Huxley'em, któremu wyrobił miejsce rządowe na okręcie R a t t l e s n a k e. Organizowano wówczas kilkoletnią podróż naukową i młody Huxley wkrótce na pokładzie Rattlesnake żegnał swój kraj rodzinny, do którego wrócił po czterech latach nieobecności z zapasem wiedzy i z rezultatem badań naukowych pierwszorzędnej wagi. W 1852 roku Huxley był wynagrodzony medalami i katedrą w szkole górniczej, którą w 1854 roku zamienił na katedrę fizyologii w uniwersytecie edymburgskim.

Dalsze dzieje Huxley'a można znaleść na stronnicach kronik uniwersyteckich i w dziejach rozwoju nauki współczesnej. Ramy naszego artykułu są za ciasne, by śledzić krok za krokiem związek, jaki zachodzi między życiem tego geniuszu a historyą myśli współczesnej. Możemy tylko w krótkości zaznaczyć, że zarówno w zoologii jak i w anatomii porównawczej T. H. Huxley był pierwszorzędną siłą. Jego specyalne prace naukowe, rozrzucone po wszystkich niemal europejskiego znaczenia rocznikach i wydawnictwach akademicznych zrewolucyonizowały naukę, wytknęły nowe drogi i dostarczyły wskazówek do pracy dla następnych pokoleń. Wrażenie tych prac było olbrzymie: wszystkie uniwersytety i ciała naukowe zjednoczonego królestwa ubiegały się o to, by w swych murach lub przynajmniej w swych księgach posiadać jeśli nie osobę, to choć nazwisko wielkiego uczonego. Uniwersytety zagraniczne osypały Huxley'a dyplomami honorowemi, godnościami zaszczytnemi i wyrazami najwyższego uznania. Niemal od 1852 aż do 1885 ciągnie się przeszło trzydziestoletnia droga pracy, usłana wieńcami i zaszczytami. Długich stronnic potrzeba, by tylko wyliczyć wszystkie tytuły prac oraz wyrazy uznania, jakie Huxley otrzymał za nie. Przechodzimy teraz do walki, którą Huxley stoczył w imię wyzwolenia myśli ludzkiej, do broni, której uczony użył jako żołnierz wiedzy i zarazem obywatel kraju.

W. Nadolski.

(Dokończenie nastąpi).

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Prasa litewska.

Dla bardziej dokładnego określenia obecnego kierunku litewskiego ruchu narodowego musimy podać krótki zarys jego historyi.

Zaczął się on dopiero na początku 1883 r., kiedy wyszedł pierwszy numer pisma „Auszra“ — pierwszej gazety litewskiej, drukowanej literami łacińskiemi. „Auszra“ (Zorza) wychodziła w Prusach, lecz była przeznaczona dla Litwinów z pod caratu, gdyż na miejscu wskutek ukazu carskiego litewskie pisma i broszury wolno drukować tylko literami rosyjskiemi. W pruskiej Litwie i przedtem istniały już gazety litewskie, drukowane literami gotyckiemi, lecz były to pisemka bismarckowsko-konserwatywne, które wówczas jak i teraz nic wspólnego z ruchem narodowym nie miały, a służyły raczej do bałamucenia Litwinów. Z innym programem wystąpiła „Auszra“, wydawana wspólnemi siłami kilku patryotów. Postawiła ona otwarcie i stanowczo jako program obudzenie na Litwie ducha narodowego. Kierunek zatem „Auszry“ był czysto patryotyczny. Drukowano w niej życiorysy znakomitszych Litwinów, jak Dowkonto, Paszkiewicza i innych, a także i słynnych patryotów innych narodów. Umieszczono też sporą ilość wierszyków własnego utworu, w których tkliwie mówiło się o Litwie, o jej dawnej sławie i ubolewało się nad teraźniejszym upadkiem. Z obcych języków także tłomaczyło się wszystko, co było wierszem lub prozą pisane o Litwie. Znaleźli się wreszcie domorośli lingwiści i badacze starożytności, którzy, nie znając ani lingwistyki ani archeologii, na zasadzie tych nauk pisali i umieszczali w „Auszrze“ swoje lingwistyczno-archeologiczne odkrycia o sławnej przeszłości Litwy. Jeden wynalazł, że Troja była miastem litewskiem, inny twierdził, że Aztekowie meksykańscy był to naród litewski.

Programu ani politycznego ani społecznego nie było w „Auszrze“. Jako pismo patryotyczne mówiła ona tylko o potrzebie miłości ojczyzny —

---

się uczucie dawniejsze! To nie ją kochał wówczas, a jakąś bladą, mglistą postać... jakiś drgający lekko ton w własnej duszy — nic ponadto: nie zaś owo jasne, kochane stworzenie, co napełniało teraz jego serce tęsknotą gorącą i pragnieniem...

I oto wszystko to minęło bezpowrotnie!... Nic nie dało się już teraz zmienić, nic przeobrazić — wszystko stracone i po wszystkie czasy pogrzebane... Jakie to smutne!... Tęsknota, pozbawiwszy go zupełnie energii czynu — ubezwładniała jego wolę, przygniatała go wprost ku ziemi.

— Wszystko stracone, stracone na zawsze! — powtarzał z rozpaczą.

Tak żył przez pewien czas; — lecz powoli zaczęła postać jej blednąć w jego wyobraźni przybrała znowu nieokreślone owe kształty, tak dobrze mu znane, a i ból dawniejszy tak dotkliwy przedtem złagodniał, zamieniając się powoli w smutek rzewny, a czasami w żal... W każdym razie nie widział już jej tak wyraźnie przed swemi oczyma, a codzień więcej umacniało się w nim przekonanie, że wyrządziła mu krzywdę wielką, niepowetowaną! Nieraz występował w świadomości jego całkiem wyraźnie Nörgaard i wówczas cierpiał prawdziwie, a serce napełniało się goryczą...

Lecz i ten stan po niejakim czasie przeminął. Powrócił on teraz znowu do swych nawyknień starokawalerskich: — zawsze jednak bolesne uczucie, towarzyszące każdemu wspomnieniu, świadczyło wyraźnie, że rana niezupełnie jeszcze zagojona...

V.

Minął miesiąc. Pewnego dnia siedział on w restauracyi, gdzie zwyczajem swoim, codziennie przed obiadem kieliszek madeiry wypijał.

W obszernym lokalu, przedzielonym cienkiemi ścianami na liczne pokoje, panowała cisza zupełna. Nieliczni goście siedzieli spokojnie przy stolikach, czytaniem gazet zajęci; szmer tylko kart przewracanych i cichy szept usługujących przerywały ciszę. Zapach befsztyku smażonego napełniał powietrze.

Bergström siedział w kącie na kanapie, oparty o ścianę ze wzrokiem w przestrzeń zwróconym... Jak ciężko było mu wówczas, jak smutno, bezgranicznie smutno!.. W ostatnich dniach wszystko mu zbrzydło, znudziło się, był tak znużony! Z początku usiłował wmówić w siebie, że po pierwszych męczących tygodniach da się życie jego znowu przyjemnie urządzić. Śmiało i z otuchą zamierzał kroczyć dalej po drodze swego życia, pełnemi piersiami świeże powietrze po minionej burzy wdychając... Zapewne tak sobie wyobrażał!... lecz gdy teraz w przyszłość wzrok zapuszczał — zamiast owych dni jasnych widział pustkę niczem niezapełnioną. Czyż mógł jeszcze żywić nadzieję? Dla czego właściwie? nie wiedział, — lecz jeden tylko był powód: nie mógł pozbyć się wspomnień! Nic nie pomagało, usiłował o tem nie myśleć — lecz wspomnienia powracały zawsze z nieprzepartą mocą... Wszystko to niewyjaśnione, otaczające tajemnicą zerwanie Engelki — miało dlań pewien urok nieokreślony, draźniło go i męczyło zarazem. Kiedyż nareszcie powróci spokój dawniejszy? Nawet przeświadczenie o wyrządzonej mu krzywdzie nie sprawiało mu ulgi najmniejszej. W tych przedpołudniowych godzinach odczuwał brak Engelki najwięcej, gdyż te chwile przedtem do najprzyjemniejszych zaliczał... Strach zdejmował go na myśl o samotnych obiadach, — dzień w dzień, o tej rannej godzinie, tak przez życie całe!

Wychylił duszkiem kieliszek madeiry i przyniesiono mu drugi. — Na domiar złego stanę się jeszcze alkoholistą!... — pomyślał — dlaczegożby nie?

W tej chwili drzwi restauracyi otworzyły się prędko i głośno. Bergström pochylił się naprzód, chcąc zobaczyć nowo przybyłego, — głos był mu jakoś znajomy... Nagle porwał leżącą na stole gazetę, by się nią zasłonić i przy bufecie stanął dr. Pauli.

— Do licha! że też nie można uniknąć spotkania...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Litwy, o odrębności Litwinów, napadała na Moskali i Polaków jako byłych i obecnych wrogów rarodu litewskiego.

Wyraźnie przejawił się w A. ruch antyklerykalny. Zaczęła ona walkę z klerykalizmem, bo litewskie duchowieństwo nieprzyjaznem okiem patrzało na budzący się na Litwie ruch demokratyczny, który groził zmniejszeniem jej wpływu na naród, a co najgorsze — zeszczupleniem jej materyalnego dobrobytu, gdy stary szlachecki porządek zapewniał jej panowanie na długie lata. Swiecka inteligencya litewska krytykowała duchowieństwo, chcąc poderwać jego znaczenie w narodzie, księża zaś wyklęli „Auszrę“ z ambon jako pismo ateistyczne i siejące materyalizm. Siły były za małe; „Auszra“ przestała wychodzić w 1886 r., przeżywszy 3 i pół lata.

„Auszra“ upadła, lecz ruch narodowy nie upadł. Szczupłe jeszcze wówczas kółko świeckiej inteligencyi litewskiej przekonało się o sile duchowieństwa, poznało, że ma ono wpływ zbyt wielki, aby można było otwarcie z niem do walki wystąpić. Zostało zatem postanowione złączyć się z klerykałami, aby przy ich pomocy ideę narodową prędzej do niższych warstw przenieść, tembardziej, że młoda generacya księży zaczęła potrochu sprzyjać ruchowi litewskiemu. Skutkiem tego zaczęła wychodzić „Szwiesa“ (Światło), w której obok artykułów klerykalnych świecka inteligencya umieszczała swoje artykuły. Ta sztuczna jedność trwała niedługo. „Szwiesa“ wkrótce upadła.

Wtenczas liczniejsze już koło inteligencyi litewskiej własnemi siłami założyło „Varpas“ (Dzwon) w 1889 r. W następnym roku (1890) to samo kółko zaczęło wydawać „Ukininkas“ (Gospodarz), pismo przeznaczone dla ludu wiejskiego, gdyż „Varpas“ był organem inteligencyi. Jedno i drugie wychodziło raz na miesiąc. Księża chłodno przyjęli te gazety i w r. 1890 ich stronnictwo założyło „Apżwałga“ (Przegląd), gazetkę czysto klerykalną. Te trzy gazety wychodzą w Tylży (w Prusach) i po dziś dzień i są organami dwóch partyi: „Apżwałga“ — klerykalnej a „Ukininkas“ i „Varpas“ — postępowej.

Wychodzą one w Prusach dla tego, że wskutek projektu Murawiewa — wieszatiela, zatwierdzonego przez cara Aleksandra II, litewskie gazety i książki wolno drukować tylko alfabetem rosyjskim. Dla przykładu zostały drukowane w Wilnie na koszt rządu i rozesłane do szkółek wiejskich książki do nabożeństwa i inne broszurki dla rozpowszechnienia ich wśród ludu; taką samą próbę jeszcze w zeszłym roku zrobili politycy warszawscy dla Litwinów gub. Suwalskiej, lecz Litwini nie przyjęli tego dobrodziejstwa a korzystają z przemycanych przez granicę książek i gazet, drukowanych łacińskiemi literami.

Zróbmy teraz krótką charakterystykę wyżej wspomnianych gazet litewskich. „Apżwałga“ wychodzi 2 razy miesięcznie, jako organ klerykalny zajmuje się przeważnie artykułami religijnemi, walczy z postępem i rozdmuchuje nietolerancyę religijną w narodzie, a przeto wywiera wpływ szkodliwy. Lecz ma ona i korzystną stronę, walcząc bowiem z rządem rosyjskim jako wrogiem katolicyzmu, budzi w narodzie duch niezadowolenia, który z czasem można będzie na coś dobrego zużytkować.

„Varpas“, organ partyi postępowej, wychodzi raz na miesiąc, jest organem patryotycznym. W takim kierunku wychodzi „Ukininkas“. Wychodzi on co 2 tygodnie, a oprócz tego co miesiąc jako dodatek wychodzi broszurka, zawierająca albo artykuł o gospodarce wiejskiej, albo powiastkę, przeważnie treści patryotycznej. Pod względem uczuć patryotycznych w tych gazetkach w porównaniu z „Auszrą“ daje się zauważyć pewien postęp, pewna dojrzałość poglądów. Nie ma już w nich czułych wierszyków na cześć „drogiej Litwy“, nie ma rozpaczliwych wspomnień o sławnej przeszłości Litwinów; przeciwnie, z pewną rozwagą zajmują się one przeważnie sprawami bieżącemi. W kwestyach politycznych zajmują się te pisma tylko krytyką rozporządzeń rządu rosyjskiego, tyczących się Litwy, i postępowania rozpanoszonych na Litwie urzędników carskich. Polemika z Polakami rzadko się trafia. Najczęściej napadają na mieszkających na Litwie spolszczonych burżuazów, którzy z zasady przeciwni są wszelkiemu ruchowi demokratycznemu, a więc i litewskiemu. Rozprawy w rodzaju tej, że Polacy zgubili Litwinów, trafiają się bardzo rzadko, czem się „Varpas“ korzystnie różni od „Auszry“. Innych bliżej określonych celów politycznych nie ma jeszcze w pismach litewskich, bo dotychczas Litwini nie wypracowali jeszcze żadnego określonego programu politycznego.

Co się tyczy poglądów społecznych, to i tu istnieje jeszcze najkompletniejszy chaos. Ogólny kierunek jest demokratyczny, lecz jak wszędzie tak i u nas ma on masę odcieni. W „Varpasie“ przeważa kierunek liberalno-burżuazyjny. Są przedstawiciele tego kierunku, którzy nie mając nadziei dostać się na wyższe posady i przez to powiększyć swoją pensyę, cichaczem marzą o tem, jakby to było dobrze, gdyby rząd nie był rosyjski, oni zaś służyli „dla dobra swoich braci Litwinów“; piszą więc artykuliki treści patryotycznej, a jako urzędnicy carscy boją się śmiałego wystąpienia przeciwko rządowi i są stronnikami kierunku umiarkowanie-liberalnego. Jest także kilkunastu prawdziwych demokratów, którzy nie wyrobiwszy sobie jeszcze żadnych określonych planów przyszłości, pracują tylko nad rozpowszechnieniem oświaty w ludzie. Jest także garstka skrajnych patryotów, którzy marzą tylko o tych czasach, kiedy na Litwie wszyscy będą mówić po litewsku. Inne poglądy uważają za niepatryotyczne, a więc naganne. Nareszcie spora ilość inteligencyi litewskiej z przekonania jest przychylną ruchowi socyalistycznemu, lecz nie widząc jeszcze na Litwie odpowiedniego gruntu dla przyjęcia tej idei, nie występowała otwarcie ze swojemi przekonaniami. „Varpas“ jest ogólnym organem całej postępowej inteligencyi litewskiej, nic więc dziwnego, że w nim znajdziesz artykuły najrozmaitszego kierunku i treści, że w nim sporo miejsca zajęło n. p. rozstrzygnięcie kwestyi o tem, jakie żony powinni brać patryoci, lub innych bez wybitniejszego znaczenia. Kółko z przekonaniami socyalistycznemi nie było zorganizowane do ostatnich czasów i nie występowało otwarcie ze swemi zasadami, a biorąc czynny udział w ruchu narodowym, zmniejszało szowinistyczne zapały zanadto gorliwych patryotów, oczekując czasu, kiedy będzie mogło otwarcie wystąpić ze swoim programem.

Na zakończenie dodam kilka słów o kierunku ruchu litewskiego w Ameryce. Amerykańscy Litwini dzielą się na dwa obozy: ogromna większość należy do obozu klerykalnego, znajdującego się pod dowództwem księży, a tylko garstka należy do obozu socyalistycznego. Są to tak zwani przez klerykałów „Szluptarniai“, po polsku słudzy Szlupasa, najbardziej czynnego i energicznego z pomiędzy Litwinów obozu socyalistycznego.

W każdem mieście, gdzie są Litwini, tworzą oni kółko, mające nazwę jakiegokolwiek świętego katolickiego. Kółek takich jest kilkadziesiąt. Wszystkie one łączą się w „Związek“ (susivienyjimas), mający za prezesa jednego z księży katolickich. Silny ten obóz ma 3 gazety: 1) tygodnik „Vienybe“, — organ Związku, 2) „Garsas“ i 3) „Valtis“ — gazetka ultraklerykalna. Z nich „Vienybe“ ma największe powodzenie, jest umiarkowanie klerykalne, ma pewien wpływ i na Litwinów na Litwie.

Kółko socyalistyczne wydaje tygodnik „Nauja Gadyne“ (Nowy czas), lecz tygodnik ten, czy wskutek braku współpracowników, czy środków materyalnych, nie może poszczycić się ani odpowiednią treścią, ani powagą. Chociaż wydawany jest w celu rozpowszechnienia zasad socyalistycznych, więcej walczy z wiarą katolicką, niż z obecnym ustrojem społecznym. Jakie on ma powodzenie w Ameryce, tego nie wiem, lecz na Litwie nie ma on żadnej wartości, bo pominąwszy inne braki, niezrozumiałe są dla włościan poważniejsze artykuły w rodzaju „Religii kapitału“ i inne podobne.

Prz.

KRONIKA LONDYNSKA.

dnia 6-go sierpnia.

(Poezye Artura Symonsa. — Nekrolog prof. Huxley'a.)

Z końcem sezonu i uśpieniem jego nieoczekiwanej bohaterki polityki, która po odbytych wyborach poszła w odstawkę, cisza ogarnęła Londyn i nic nie ma na horyzoncie, coby ściągało na siebie oczy wszystkich. Był jeden i drugi proces rozwodowy, były pozwy przed sąd za złamanie ślubnych przyrzeczeń, lecz z podobnemi historyami zżyliśmy się do tego stopnia, że nawet wróbla nie ocknę one z posezonowej drzymki. Trzeba przeto szukać pomiędzy drukami sensacyjnej strawy. Tem ożywiony pragnieniem podjąłem świeży tom poezyi Artura Symonsa p. t. „Londyńskie noce“. Tytuł obiecywał wiele, bo niektórzy powieściopisarze zapewniają nas, iż wschodnia dzielnica Londynu staje się pod osłoną nocy teatrem strasznych morderstw i rozbojów. Można było zatem przypuszczać, iż poeta sięgnął po materyał do tego państwa nędzy materyalnej i moralnej. Wprawdzie pewna krytyka, która mi wpadła w rękę, wyprowadziła mnie wnet z błędu, lecz zadąwszy w trąbę pożarną, tem więcej zachęciła do czytania strof, które miały być — „kwiatami złego“.

Artur Symons dał się poznać dwoma tomami poezyi, z których drugi p. t. „Sylwetki“ zjednał mu zasłużony rozgłos i miano „istotnego“ poety. Ślepy dopatrzyłby się w tych uroczych obrazkach duchowego pokrewieństwa i wpływu Pawła Verlaine'a, z którym łączą autora węzły przyjaźni. Młody poeta bowiem, bawiąc długi czas nad Sekwaną, przejął się duchem literatury francuzkiej i „Poëmes Saturniens“ żywo przemówiły do jego keltyckiego temperamentu. Urodzony w Kornwalii, hrabstwie przez szczep keltycki zamieszkałem, kładzie on na karb swego pochodzenia pewną różnicę, zachodzącą pomiędzy własnemi poglądami i skłonnościami a anglosaskiej sfery literackiej. „Londyńskie noce“ uwydatniają w większym jeszcze stopniu od „Sylwetek“ piękny jego talent liryczny: skończoną i misterną formę, śpiewność języka i egzotyczny czar. Lubo zapewne czas spotęguje akordy uczuć i nada im potężniejszy koloryt, poeta szczerze odsłania wnętrze swej duszy. Jako dekadent nie troszczy się on o zło i dobro, uważając, że jestto kwestya indywidualnego zapatrywania, uwarunkowanego temperamentem i kursującemi pojęciami. Te pojęcia zaś nie mają nań żadnego wpływu. Zamiast zatem ubierać się w formułki i teorye, śpiewać na dudkach filistrów, okłamywać siebie i innych, mówi poprostu, co czuje i jak czuje. „Dla ciała i duszy jak moja, pokarm aniołów jest za delikatnym“, mówi w wierszu „Liber amoris“ i chociaż „wie, że kobieta nie ma duszy“ i „niezdolną jest kochać“ godzi się na to, bierze świat i ludzi jakimi są, pragnień skalę obniża, gubi w szale pocałunków. Nie pyta co znaczy wyraz cnota i grzech, bo przy boku Bianki znalazł „raj w jej piękności“. Innemi słowy idzie za głosem krwi, znając wartość szczegółów i chwili, która ucieka bezpowrotnie. Na tej lutni cywilizowanego epikurejczyka wygrywa subtelne, lekkie erotyczne melodye. Kilka sielankowych wierszy miesza się do tej wiązki. W nich daje on wyraz wrażeniom pochwyconym w Wenecyi, w ustroniach wiejskich i nadmorskich. W poezyach Verlaine'a wszystkie tony uczuć głębiej są zaczerpnięte i świadczą o gorętszem sercu, lecz zresztą Symons dorównuje zupełnie francuzkiemu dekadentowi. Uderza mianowicie rzadka trafność i ścisłość w rysowaniu konturów; w kilku słowach maluje wytwornie zarówno krajobrazy jak długie okresy życia. Wogóle wszakże szkoda, że świadomie obniża poziom swych myśli, w zbyt ciasnem je zamyka kole, że „życie jego jest jak musichall, na którego scenie „ogląda sam siebie tańczącego ku zabawie własnej i widzów“. Lecz z biegiem czasu odrzuci tę lutnię szansonetkową, gdy silne owładnie nim uczucie, i zamiast wonnych i śpiewnych poezyi szczyptą wewnętrznego niezadowolenia i ztąd płynącej melancholii zaprawionych, otrzymamy głębsze produkty wydelikatnionych nerwów angielskiego Verlaine'a.

W miesiącu lipcu pochowała Anglia jednego z swych najsławniejszych synów w osobie profesora Huxley'a, naturalisty i filozofa. Zmarły poświęcił się zrazu medycynie, lecz wkrótce porzucił je dla fizyologii i zoologii. Na podstawie materyałów zebranych w ciągu czteroletniej podróży morskiej, ogłosił dzieło o żyjątkach morskich, które nauka uznaje za jednę z najświetniejszych prac oceanograficznych. Powołany na profesora historyi naturalnej i paleontologii, oddał się zupełnie nauce. Od młodości zdradzał on skłonności do metafizyki i już pierwsze swe prace zabarwiał filozoficznemi poglądami. Słynna teorya Darwina o „naturalnym doborze" i dzieło tegoż o „pochodzeniu gatunku" wywarły stanowczy wpływ na młodego uczonego, który stanął w pierwszym szeregu pomiędzy szermierzami biologicznego prawa ewolucyi. Dzięki swym świetnym właściwościom pióra, Huxley zapewnił tej teoryi wszechświatowy rozgłos. Rozumowania jego dały pohop uczonym do poszukiwań pokrewnych punktów pomiędzy małpą a człowiekiem cywilizacyi. Co się tyczy różnicy zachodzącej pomiędzy zwojami mózgowymi i intelektem człowieka i małpy, utrzymuje Huxley, iż różnica ta nie jest tak wielką jak pomiędzy mózgiem osobnika cywilizowanego, a żyjącego w stanie dzikim. Zresztą ten sam organ jest siedliskiem myśli zarówno u ludzi jak zwierząt. Na okładce wiekopomnego jego dzieła p. t. „Stanowisko człowieka w naturze", wykazuje uczony angielski analogię pomiędzy królem wszechstworzenia a zwierzętami za pomocą seryi szkieletów, począwszy od okazów kocich, orangutanów, szympansów i goryli, a skończywszy na człowieku. Na tym punkcie zahaczało się wielu uczonych, nie chcąc rasy ludzkiej wywodzić od tak niearystokratycznych antenatów, aczkolwiek wywody Darwina, Wallace'a i Huxley'a wyraźnie na to wskazywały. Niezbudowany małodusznością tychże wyraził się Huxley, że „logiczne konsekwencye są straszydłami na głupie szpaki a alarmem pożarnym dla mądrych".

Rozumowania Huxley'a prowadzą nieodzownie do materyalizmu, lecz zmarły fizyolog cofał się od wrót jego, sądząc „że materyalizm tak jak on go pojmował, jest filozoficznym błędem". Aby bowiem módz zdać sobie sprawę z istnienia materyi, trzeba mieć umysł, któryby tę materyą odmalował. Niemniej wzbraniał się przed przydomkiem ateisty, bo „problemat ostatecznego powodu wszechistnienia był zupełnie niepodobnym do zgłębienia dla jego nieudolnych władz umysłowych". Odpowiadając sobie na te zagadnienia: nie wiem, — ochrzcił się mianem agnostyka. Naturalnie wywody jego napotykały na wielką opozycyą w różnych okazach i ztąd przychodziło do polemicznych utarczek. W starciach tych Huxley udowodnił ponownie swej ścisłości w myśleniu i znakomitej swady, której zazdrościł mu Darwin. Szczególnie niebezpiecznego oponenta miały w nim pozytywizm Comte'a i zakusy reformatorskie generała Booth'a, naczelnika Armii Zbawienia. Mimo, że nieubłaganą szczerością narażał się wielu koteryom, doszedł do najwyższych zaszczytów i cały świat naukowy zgodnie składał koło jego erudycyi, logice i filozoficznym zapatrywaniom. Zmarł też, licząc lat siedemdziesiąt, otoczony czcią i uznaniem swych ziomków, którzy głosu jego słuchali zawsze ciekawie, widząc w nim świetną gwiazdę świetnej ery królowej Wiktoryi.

Nobody.

KRONIKA GALICYJSKA.

Grzechynia pod Makowem 6 sierpnia.

(Związek chłopski. — Smutny koniec wesołego gimnazyum.)

Nie dla tego, że siedzę na wsi, ale dla tego, że ruch ludowy w Galicyi zwraca powszechną na siebie uwagę, po raz trzeci, jeżeli się nie mylę, udzielam mu miejsca w mojej kronice galicyjskiej.

Ruch ten objawia się obecnie nadzwyczaj silnie z powodu nadających się we wrześniu wyborów do sejmu. Socyaliści ciągną lud w swoją stronę i urządzają dla niego, raczej dla siebie, rozliczne wiece — lwowskie Towarzystwo demokratyczne czyni toż samo, wreszcie sam lud niby, przy pomocy swego stowarzyszenia „Związek chłopski" i czasopisma pod tymże tytułem wydawanego, występuje dość energicznie, nawołuje do jedności, urządza zgromadzenia, gotuje się do walki wyborczej. Ten właśnie Związek chłopski zajmie większą część mojej korespondencyi jako objaw nietyle cickawy, o ile mogący mieć dość groźne następstwa. Dziwna rzecz, iż nasi konserwatyści poniekąd mu sprzyjają, widząc w nim naturalną zaporę przeciw socyalizmowi i demokratyzmowi. Dla nich to dostateczne, że „Związek chłopski" zerwał z ks. Stojałowskim, że wypiera się wszelkiej spójni z socyalizmem, że nie odzywa się za powszechnem głosowaniem, a kokietuje nieco z księżmi i ze szlachtą. „Gazeta Kościelna" organ duchowieństwa, stawia pismo „Związek chłopski" na czele pism ludowych, mówi, że się bierze do chłopów „przeciwnie", że wydają go chłopi, patrzący na sprawy krajowe „spokojnie i trzeźwo", że zasługuje on na poparcie wszystkich interesujących się ruchem ludowym. „Czas" oświadcza (nr. 178), że reprezentantem interesów ludu jest „Związek" powstały „naturalnym procesem" i „mający prawo mówić w imieniu włościaństwa".

Tymczasem kto rzeczywiście „spokojnie i trzeźwo" patrzy na sprawy krajowe, ten przejrzawszy numera „Związku chłopskiego", musi z obawą spoglądać na jego tendencye. Duch kastowości dochodzi w tem piśmie do potwornych rozmiarów. Chłop jest wszystkiem na świecie — reszta ludzi to darmozjady. „Związek" wogóle dzieli ludzi na dwie kategorye: pracujących na chleb „bezpośrednio" i „pośrednio"; pośrednio pracuje każdy, co nie jest chłopem, a w pierwszej linii inteligencya. Posłuchajmy dosłownie wywodu: „inteligencya" jest to osobny stan (kasta), którego głównem utrzymaniem jest pensya... inteligentnik rości sobie prawo, aby żył kosztem społeczeństwa... Idzie mu o to, aby za pomocą pióra mieć chleb dla siebie i potomków swoich... Dzieci takiego inteligentnika niczem nie będą innem, tylko inteligentnikami"... Wszyscy dbający o dobro ogółu, o prędki wymiar sprawiedliwości, narzekają wiecznie na małą ilość sądów w Galicyi i na przeciążenie w nich urzędników, ztąd każdy minister sprawiedliwości wiecznie jest zasypywany prośbami ze wszystkich stron płynącemi o utworzenie nowych sądów i pomnożenie urzędników; wszyscy wołają, że Galicya pod tym względem jest po macoszemu traktowaną, — zarówno są tego zdania tak opozycyoniści jak i nasi rządowcy. Ale wszyscy się mylą — „Związek chłopski" wie, że zakładanie nowych sądów to jest wyzysk ludu, prosty „interes kasty urzędniczej, która jest jak polip na ciele narodów". Chłop pracuje, a taki inteligentnik to tylko pensyę za darmo bierze. Żeby to taki inteligentnik był jeszcze mądry! ale gdzietam! Dwadzieścia lat uczy się do jednego zawodu — a tu chłop przy gospodarstwie musi znać kilka zawodów, a dwudziestu lat nie potrzebuje się uczyć; „jakże więc niesłusznie ci wszyscy, co pracują w kancelaryach głową czy piórem zadzierają nosa do góry i pogardzają tymi, którzy ich żywią i utrzymują swą znojną pracą". W parze z temi mądremi wywodami idzie narzekanie na oświatę, która jest „dzisiaj przyczyną złego". Oto znów cytat dosłowny: „Dziatwa wysyłana do szkoły pozbawiona jest dozoru rodziców, przytem łączą się dzieci dobrego wychowania z temi, co są źle wychowane; (słowa, pod którcmi w całości mógłby się podpisać... hrabia galicyjski) ztąd powstaje ogólne zepsucie, niemoralność, złe obyczaje... Dzieci wychodząc ze szkoły trudno się przyzwyczajają do pracy". Nawet i dziennikarstwo jest solą w oku Związku chłopskiego: „za pomocą gazet wysłało piekło swoich zwolenników, swoich siewców, swoich nauczycieli i poprzedników antychrysta".

Naturalnie redakcya „Związku chłopskiego" od czasu do czasu miarkuje zapał swoich współpracowników i przyznaje, że „potrzeba wojska, żandarmeryi, różnych urzędów i sądów", a nawet jest tak łaskawą i oświadcza, że „i urzędnik potrzebuje żyć" i że „czy kto pracuje na chleb bezpośrednio czy pośrednio, to wszystko jedno". Ale takie umiarkowanie wygląda tylko na „p o l i t y k ę", na chęć niedrażnienia inteligentnych przyjaciół „Związku". Chłop czytając jednocześnie takie i takie zdania i mając do wyboru pomiędzy niemi, z pewnością wybiera te, które łechcą jego próżność i zarozumiałość. „Polityką" też są czułe apostrofy do duchowieństwa, jak n. p. „Wyście są światłością świata, na was wszystkich są oczy zwrócone". Ale ta „światłość" poddaną jest ostrej krytyce; musi ona ludu słuchać, wolno jej agitować podczas wyborów, ale tylko... za chłopami.

A w tych wyborach mieści się cały program stronnictwa. Uchwalono w Wiedniu nową procedurę cywilną, rzecz największej wagi, obchodzącą lud bezpośrednio — zastanawiano się nad reformą wyborczą, która przecież także lud bezpośrednio obchodzi, ale nie myślcie, ażeby takiemi drobiazgami zajmowało się stronnictwo chłopskie. „Róbcie sobie, co chcecie, woła „Związek chłopski", a nam oddajcie naszą władzę. Na razie tedy: na posła chłopa wybierać. To jest protest przeciw złemu dzisiejszemu, to jest wotum nieufności za to, co dotąd na naszą niekorzyść (?) uchwalały sejmy i parlamenty — więc chłopa wybierać! To jest najlepsze m e m e n t o do naprawy ustaw i do należytego wykonania ustaw... A więc chłopa wybierać, komitety pod tem hasłem zawiązywać, chłopa wybierać!" W odezwie „do przewielebnych księży i panów nauczycieli" Z w i ą z e k oświadcza wyraźnie, że lud życzy sobie, aby w tym roku wszystkich 74 mandatów poselskich z grupy gmin wiejskich dostały się chłopom". A więc księża, jeżeli usiłujecie lud, który „choć rozgoryczony, jednak najwierniej świętego Kościoła katolickiego się trzyma", popierajcie kandydatów chłopskich. I wy nauczyciele czyńcie to samo!

Nie będę się rozwodził nad głupotą związkową, lekceważącą wszelką pracę umysłową, nie mogącą zrozumieć, że owoce cywilizacyi i oświaty, podnoszące moralnie i materyalnie lud cały, są wynikiem pracy tych darmozjadów inteligentników, niemogącą, czy niechcącą pojąć, że lud tylko pracy „głów" tych znienawidzonych intaligentników zawdzięcza to, że jest uznany za człowieka — nie będę też zastanawiał się nad tem, jakby wyglądał i coby mógł zrobić i przeprowadzić sejm, złożony w połowie z chłopskiego balastu — ale pozwalam sobie jeszcze raz zwrócić uwagę na niebezpieczeństwo agitacyi „Związku chłopskiego". Całe jej dążenie to cofnięcie się wstecz, to chęć zapanowania nierozumnego tłumu nad inteligencyą. Konserwatyzm, reakcya u góry mogą się nie podobać, ale konserwatyzm i reakcya u dołu to niebezpieczeństwo rzeczywiste. Nie ma wprawdzie obawy, aby „Związek chłopski" przeprowadził swoich 74 kandydatów, ale zasiewane przez niego ziarno wzmaga olbrzymio kastowość, musi wywołać rozjątrzenie i walkę stanową. Ślepi, którzy widzą w tych objawach liberalizm i rozbudzenie się ludu, nie dostrzegają, że jest to objaw najwyższego sobkostwa. Tu nie idzie o interes ludu, ale o interes posiadających, bo chłopem bezrolnym lud gardzi, i dla tego też jest przeciwny powszechnemu głosowaniu. Proszę tylko porozmawiać z ludem, a kto chce, ten dowie się łatwo, jakie oburzenie wywołuje w nim myśl, że jego parobek lub chłop komornik miałby z nim równe prawa wyborcze.

Łudzą się więc ci konserwatyści, co kokietują ze „Związkiem chłopskim", łudzą się i postępowcy podający mu rękę. Łudzą się i pod tym względem, jakoby Związek chłopski był dziełem samych chłopów. Kto czyta jego organ, ten już po stylu i wyrażeniach widzi w nim rękę nie chłopów lecz chłopomanów, którzy albo są ideologami, doktrynerami, albo tylko sprytnie zarozumiałość i ciemnotę chłopską wyzyskują.

Jeszcze jedna uwaga z własnego na rzecz patrzenia. Lud bezpośrednio na ziemi pracuje, a ziemia jest karmicielką, a więc lud ma prawo pomiatać wszelką pracą pośrednią". Nie

idzie już o ten nonsens, ale same podstawy tego rozumowania w naszych galicyjskich stosunkach stają się coraz bardziej kruche. To co „Związek chłopski“ za lud uważa, ci, których nie jest organem, to jest chłopi właściciele małych posiadłości, coraz mniej „bezpośrednio“ na roli pracują. Rozwój przemysłu, brak robotnika i łatwość komunikacyi wytwarzają nowe warunki ich życia. Podczas lata co drugi prawie chłop zdrowy opuszcza rolę i wędruje dla zarobku w strony dalsze. W okolicy, w której się znajduje, idą chłopi gospodarze na zarobek nietylko do miast i przemysłowych miejscowości galicyjskich, ale do Prus, Królestwa Polskiego, a nawet do Pesztu. W wiosce, w której mieszkam, brakuje przynajmniej stukilkudziesięciu takich gospodarzy, a „bezpośrednio“ pracują na roli przeważnie baby, dziewki i młodzież. Tym więc „bezpośrednim“ pracownikom należałoby zdać w ręce losy kraju, a co najmniej . . . . . wybory.

Jeżeli jednak galicyjska wiejska płeć piękna zaczyna górować w bezpośredniej pracy na chleb, to inteligentne osobniki tej płci znowu rozstały się z nadzieją rozszerzenia zakresu swej pracy „pośredniej“. Pomostem w tym celu miało być dla nich gimnazyum żeńskie we Lwowie, którego otwarcie zapowiadano już na początek września. Tymczasem instytucya ta już zmarła, zanim się narodziła.

Raczą może sobie przypomnieć czytelnicy „Przeglądu“ jedną moją korespondencyę, w której dość otwarcie (lubo nie bez strachu), wypowiedziałem moje zapatrywanie na działalność społeczną kobiet naszego królestwa Galicyi i Lodomeryi z W. Ks. Krakowskiem. Byłem tak dalece niegrzeczny, że nazwałem ją blagą, zabawką, której firmę daje płeć żeńska, a koszta ponosi ród męzki. Była wtedy mowa i o żądzy kobiet do wiedzy, którą możnaby łatwo zaspokoić, gdyby nasze damy raczyły mniej szczelnie zamykać swoje portmonetki i kasy wertheimowskie. Wspomniałem o tem z powodu, że nieznana mi z imienia i nazwiska jakaś Lwowianka czy Podolanka ofiarowała się z gotowością złożenia 30,000 rubli na gimnazyum żeńskie we Lwowie. Podniosłem ten fakt jako wyjątkowy, a jako taki stwierdzający regułę. Gdyby nasze panie (pisałem mniej więcej w tych słowach) stosownie do swojej zamożności wspólnemi siłami zebrały fundusz dla zakładania gimnazyów żeńskich, nie potrzeba byłoby czekać na takie wyjątki.

Ale cóż, kiedy i ten wyjątek zawiódł, a sprawa fundacyi gimnazyum żeńskiego we Lwowie stała się pysznym tematem do napisania farsy. Jestem też przekonany, że znajdzie się jakiś farsista, który temat ten wyzyska. Gdyby taką farsę wcześniej był napisał, nasze szanowne galicyjskie emancypantki zarzuciłyby mu perfidyę, nieszlachetne szkalowanie płci pięknej, ośmieszanie szlachetnych dążeń i porywów. Ale dziś każda z nich miałaby usta zamknięte, co lubo, jak wiadomo, jest dla dam męczarnią nie do zniesienia, w tym wypadku przecież byłoby koniecznością nieuniknioną.

Bo proszę sobie przypomnieć przebieg sprawy. Panna X. ma owe 30,000 rubli złożyć na ręce dr. Piętaka, profesora uniwersytetu lwowskiego. Szanowny profesor zajmuje się gorąco tą sprawą. Zwołuje grono pedagogów i wraz z nimi pracuje nad wprowadzeniem w życie instytucyi. Cały program jest ułożony, wszystko jest obmyślane. Poczyniono już starania w Radzie szkolnej i w ministerstwie. Mimo niechęci i przeszkód sprawa naprzód postępuje. Poszukuje się już lokalu, układa się personał nauczycielski. Dziennikarstwo notuje najbrobniejsze szczegóły. Na zjeździe pedagogicznym, odbytym w Krakowie w początkach czerwca, przedkłada się w zarysach cały projekt, czemu towarzyszą długogrzmiące oklaski. Idzie już chyba tylko o to, aby ułożyć program uroczystego otwarcia gimnazyum. I w tej chwili, kiedy wszystko jest już przygotowane, dowiaduje się publiczność (nawiasem mówiąc nie z dzienników krajowych lecz z „Kraju“ petersburskiego), że szanowna fundatorka gimnazyum wyszła zamąż, a summa przeznaczona na zakład naukowy dla kobiet powiększyła jej sumę . . . . . posagową. Darujcie, łaskawe panie, ale wątpię, czy na taki „dowcip“ zdobyłby się który z waszych tyranów.

Fakt ten ilustruje znakomicie ofiarność naszych niewiast. Pomijam już to, że wspólnemi siłami mogłyby zdobyć się na założenie gimnazyum — ale przypuszczam, że bądź co bądź w samej Galicyi jest przynajmniej tysiąc takich kobiet, któreby mogły ofiarować kilkadziesiąt tysięcy na rzecz swych najszlachetniejszych dążeń. Zapewne, że z tego tysiąca większość tych dążeń nie uznaje, ale przypuśćmy, że jest pomiędzy niemi choć sto, dwieście takich, które założenie gimnazyum dla kobiet uważają za rzecz największego znaczenia. Uważają, mówią o tem, dowodzą tej potrzeby, ale ani jedna nie sięgnie ręką do kieszeni. Nareszcie jedna się znalazła, wciągnęła do sprawy ludzi poważnych i skompromitowała ich z lekkiem sercem przedkładając nad instytucyą naukową, świętą (co prawda) instytucyą małżeńską.

Nie będę się więcej nad tą rzeczą rozwodził, bo drży na mnie skóra. Proszę mi wierzyć (mogę zresztą na to postawić świadków), że kiedy przed paru miesiącami napisałem korespondencyą do „Przeglądu“ o naszych filantropkach i pracownicach społecznych, spotkał mnie taki grad pocisków ze strony dam pięknych i mniej pięknych, że tylko dzięki niezwykłej odporności mego ciała i ducha wyszedłem jako tako, przynajmniej bez wybitnego szwanku, z całej tej damskiej awantury. Nawet na miejscach publicznych otrzymywałem besztaniny od „aniołów“ naszych, a choć anioły są bezcielesne, widziałem najwyraźniej ich ściśnięte piąstki, żywo gestykulujące o parę cali zaledwie od mojego organu powonienia, oraz różowe paznokietki zbliżone do organów mojego wzroku. Nie chcąc się narazić po raz drugi na nową seryę podobnych objawów „zamiany myśli“, gotówem z góry odwołać to, co się dziś wymknęło z pod mojego pióra i uznać, że to, co napisałem o gimnazyum żeńskiem we Lwowie jest wierutną bajką, niegodnym wymysłem uprzywilejowanej kasty potworów mężkich.

Ale cóż z mojego odwołania, kiedy inne potwory zgodnie ze mną cały przebieg tej sprawy gimnazyalnej w annalach galicyjskich zapisały!

K. Bartoszewicz.

KRONIKA LITERACKA.

Na półkach księgarskich ukazał się czteroaktowy obraz dramatyczny p. t. *„Ambicye“*. Utwór ten wyszedł z pod pióra p. Walerego Łebińskiego, naczelnego redaktora „Wielkopolanina“. Poświęcimy mu niebawem obszerniejszą ocenę.

* * *

Nowa powieść Tołstoja. „Nowosti“ donoszą, że hr. Leon Tołstoj pisze nową powieść, której akcya odbywa się w sądzie okręgowym.

* * *

„Die Waffen nieder!“ miesięcznik, poświęcony ruchowi pokojowemu, wydawany przez bar. Bertę Suttner w Wiedniu, jako urzędowy organ międzyparlamentarnych konferencyi i międzynarodowego biura pokoju, zamieścił między innemi w zeszycie czerwcowym cykl sonetów Adama Asnyka „Z widowni świata“ w doskonałym przekładzie, dokonanym przez dr. Wład. Gumplowicza. Przekład zdradza bardzo wybitny oryginalny talent poetyczny w młodym pisarzu, który niedewno cały tomik poezyi Asnyka przyswoił już literaturze niemieckiej. Dr. Gumplowicz jest synem zaszczytnie znanego profesora nauk państwowych w Gracu. Przed kilku laty kształcił się na uniwersytecie lwowskim, wyróżniając się zdolnościami i charakterem. W ubiegłym roku, bawiąc na dalszych studyach w Berlinie, na jakiemś zgromadzeniu ludowem wyraził się trochę nieoględnie i zbyt otwarcie o dzisiejszych urządzeniach społeczno-państwowych, za co skazany został przez sądy miejscowe na dwa lata więzienia. Losem utalentowanego poety zainteresowała się żywo baronowa Suttnerowa.

* * *

Jedna z gazet amerykańskich ogłosiła konkurs na najlepszą powieść z życia tajnego agenta policyi. Ogółem nadesłano 3000 prac. Nagrody otrzymali wszakże nie zawodowi agenci policyjni, którzy wzięli nader liczny udział w konkursie, lecz panna Marya Wilkins i Brandes Mathews, obie znane powieściopisarki amerykańskie.

* * *

We Francyi przygotowują nowe wydanie zbiorowe dzieł Kartezyusza. Prace przygotowawcze w tym kierunku rozpoczęło już grono uczonych francuzkich, którzy poczynili starania, aby zebrać wszystko, co napisał wielki filozof, a między innemi i listy do różnych osób. Koszta wydawnictwa „Oeuvres complètes de Descartes“ wziął na siebie rząd.

KRONIKA POWSZECHNA.

* **Wiadomości społeczne i polityczne** W Brukseli odbyła się przed tygodniem olbrzymia manifestacya przeciwko nowemu prawu szkolnemu. Z prowincyi przybyło 500 nadzwyczajnych pociągów, przywiózłszy 30,000 manifestantów z Heggenau, 20,000 z Antwerpii, 18,000 z Liège i 15,000 z Gentu. Procesya manifestantów przez ulice miasta trwała przeszło 4 godziny, poczem nastąpiło odsłonięcie olbrzymiej statuy Wolności, przyodzianej w krepę. Deputacye 450 stowarzyszeń niosły chorągwie i flagi z napisem: „Precz z klerykalnem prawem szkolnem“. Od 1830 r. Belgia nie widziała podobnej manifestacyi. Sądzą, że król nie zatwierdzi prawa szkolnego. — Z Brüx (Gniewina opiewają ostatnie wiadomości: Urzędownie stwierdzono, że zapadło się ogółem 25 domów zupełnie. Mieszkało w nich 1012 osób. Do połowy zapadło się domów 18, w których 411 osób miało mieszkanie. Nadto na 39 budynkach pojawiły się groźne rysy, tak, że mieszkańcy, w liczbie 1039 osób, musieli mieszkania swe również opróżnić. Wogóle razem wysiedlono osób 2462. Ścisłe dochodzenie prowadzi urząd gminny wspólnie ze starostwem przy pomocy rzeczoznawców. — Według doniesienia berlińskiej „Vossische Ztg.“, okręty angielskie unikają kanału Północnego, utrzymując podobno, że skrócenie drogi z portów angielskich do Bałtyku nie jest tak znaczne, jak to przedstawiają dzienniki niemieckie, i że opłata od okrętów raczej podraża, aniżeli obniża koszta przejazdu kanałem. Wspomniany dziennik domyśla się, że żegluga angielska zorganizowała się potajemnie dla bojkotowania kanału i wywarcia nacisku, celem spowodowania obniżki kosztów, obliczanych za przejazd. W razie osiągnięcia tego celu Anglicy ofiarowaliby za bezcen w portach bałtyckich węgiel kamienny, który już dziś prawie żadnego frachtu nie opłaca, ponieważ okręty, wywożące z portów bałtyckich zboże, biorą węgiel jako balast, gdy po zboże wracają. Zrobiłoby to jeszcze niebezpieczniejszą konkurencyę węgla angielskiego dla kopalni niemieckich. Dzienniki niemieckie przemawiają tymczasem za wstrzymaniem się z obniżeniem kosztów przejazdu kanałem Północnym, licząc na to, że jeżeli żegluga angielska nie będzie korzystała z udogodnień kanału, to zyska na tem żegluga niemiecka, rozprzestrzeniając swą działalność kosztem żeglugi angielskiej. — W włoskiej izbie deputowanych zaszły podczas obrad nad etatem przykre sceny, ponieważ skrajna lewica z Imbrianim na czele domagała się redukcyi listy cywilnej króla włoskiego. Wśród burzy oklasków odpowiedział na żądanie to Crispi, że wobec znanej ofiarności monarchy podobne żądanie uważać można tylko za wręcz nikczemny, z niskich motywów wypływający manewr polityczny. — Pogłoski o ustąpieniu ks. Ferdynanda nie sprawdzają się. Książę wraca do Bułgaryi. Morderców Stambułowa jeszcze nie schwytano. — W Berlinie odebrał sobie życie w napadzie melancholii sekretarz ambasady tureckiej Sadullach bej, syn byłego posła tureckiego w Wiedniu, który również przed kilku laty odebrał sobie życie. — Od dnia 21 do 28 września obradować będzie w Dreznie kongres międzynarodowy stowarzyszenia literatów i artystów.

* **Teatr i muzyka.** Pani Helena Modrzejewska bawi chwilowo w Księstwie, skąd w połowie b. m. wyjeżdża z powrotem do Ameryki. — Piotr Mascagni skomponował nową operę jednoaktową p. t. „Il viandante“. Treść do opery tej zaczerpniętą została z obrazka dramatycznego p. t. „Przechodzień“ Fr. Coppe'go. — Wiedeński „król walców“, a twórca „Jabuki“, Jan Strauss, skomponował nową operetkę w 3 aktach p. t. „Waldmeister“. Operetka ta zainauguruje sezon zimowy w Wiedniu.

Zmarli:

* **Bronisława z Swinarskich Rabowowa** współpracowniczka „Gazety Gdańskiej“ i „Gazety Grudziądzkiej“, autorka kilku powiastek ludowych.

* **Henryk Sybel**, znany historyk niemiecki.

* **Fryderyk Engels**, teoretyk socyalistyczny, uczeń i przyjaciel Karola Marxa, w Londynie.

Odpowiedzi Redakcyi.

K. J. z N. Zachęcamy gorąco do dalszej pracy w tym kierunku. Jest bowiem w poezyach nadesłanych talent rzeczywisty, a ślady jego znać mianowicie w utworach „Wiatr“ i „Cisza przed burzą“. Miejscami tylko rażą usterki w rytmie nie dość konsekwentnym. Prosimy o dalsze próby i odsłonięcie anonimu.

Helena E..e. w Aussee. Dziękujemy serdecznie. Zamieścimy niebawem.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Roman Przyborowicz z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.